BIBLIOTEKA
WYŻSZEJ SZKOŁY PEDAGOGICZNEJ
W GDAŃSKU
Bibl. Centr.

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 1.20 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

H. BALICKA — Ze wspomnień instruktora oświatowego ZWM. G. MORCINEK—Górnicza armia. J. STAWIŃSKI — Imperializm na tronie watykańskim. ST. SIEKIERSKI — Pierwsze starcie A. KASPROWICZ — Fragmenty poematu. B. CHĘCIŃSKI — Opowiadanie schematyczne. R. KORN — Wyrzutnie i Eisenhower. M. ŚWIETLIK — O niższych typach spółdzielni. G. TIMOFIEJEW — O sztuce opowiadania. B. PIĄTKOWSKI — Siewnik i procenty. J. K. MACIEJEWSKI — W spółdzielniach byłych biedniaków. K. PAŁYS — Tkaniny frampolskie.

Rok X

Warszawa, dn. 15 lutego 1953 r.

Nr 7 (393)

W 10 rocznicę ZWM

MŚCICIELE

Z popiołów mściciele powstają
Zrodzeni przez rozpacz i ból,
To na nas miliony czekają
Rodaków ginących od kul.

Nam dzieci z domów wyrwała
Faszystów banda złowroga,
A drogę walki wskazała.
Zagród rodzinnych pożoga.

Hańbę bezczynu czas zetrzeć,
Czas oręż wziąć, bracia, w dłonie,
Oświęcim nas dzisiaj przyzywa:
Do broni, Polacy, do broni!

Lubelskie, Zamość i Treblinkę
Niech wróg w pamięci zachowa.
Za Pawiak, Wawer, Majdanek
Zapłaci mu Armia Ludowa.

Wiersz ogłoszony w „Walce Młodych" Nr 2, z dn. 6.III. 1943 r.

1944

Wciąż silniej z rokiem nowym
pod niebo, od chmur ciężkie,
uderza krok nasz miarowy
i pieśni nasze zwycięskie.

Spróbujesz — Nowa Wiosno —
potęgi naszych ramion,
czy — co dzień w trudzie rosnąc —
przeszkody złamią.

Niech czas nam dalej milczkiem
kłody pod nogi układa.
Nie zwiodą nas doły wilcze,
nie złamie nas lęk i zdrada.

Oto przed nami trud nowy:
nowe miesiące i dni.
Oto — jak zawsze — gotowi
dźwigniemy ręce i głowy —
ponad siebie staniemy, to my...

Wiążą nam ręce — a przecie
pęt tyle w rękach nam prysło.
Na szerokim, słonecznym świecie
trwa nasza walka
o przyszłość.

Każdy z nas, milionowych braci,
z miast czarnych, z jasnych niw,
doczeka w gromadnej pracy
stokrotnych żniw.

Blask, co nad nami świta,
czoła otoczy nam kręgiem.
Roku niełatwy... Bywaj! Powitaj!
milczącą, roboczą potęgę!

Wiersz ogłoszony w „Walce Młodych" Nr 2, z dn. 25.I. 1944 r.

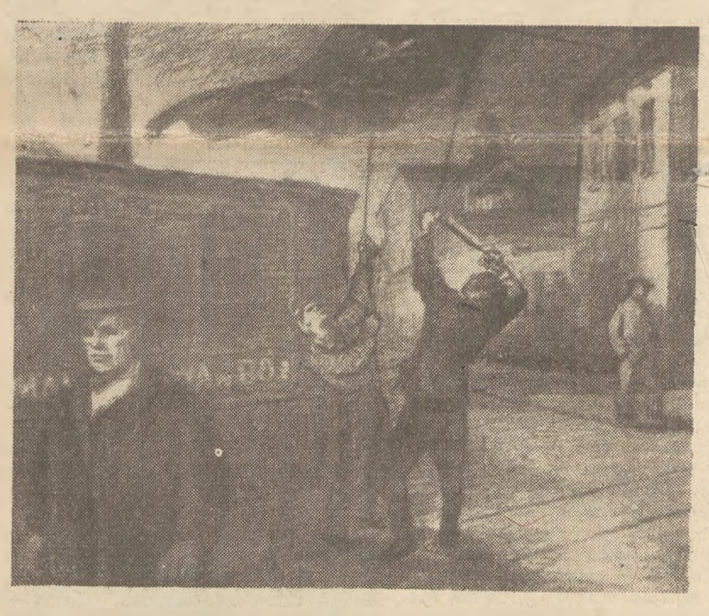

WŁADYSŁAW STĘPIEŃ

Pokolenie Korczaginów

POTRZEBĘ bohaterstwa stwarza rzeczywistość, a nasza epoka zna ją od dawna. Przekazał nam ją Pawka Korczagin, ogłaszając triumfalnie w swoich ostatnich słowach, że nareszcie marzenie stało się rzeczywistością! Nad Uralem rozbłysły ognie wielkich pieców Magnitogorska, a w ciemnej rzece Amur odbiły się światła nowego miasta — Komsomolska. Przechodząc niełatwą drogą, pełną ofiar i samozaparcia, Korczagin nosił w sobie świadomość zwycięstwa. Przekazał nam ją wraz z potrzebą bohaterstwa.

Nasze marzenia stały się rzeczywistością dopiero w 1944 r., kiedy nad brzegiem Wisły stanął żołnierz Armii Czerwonej, młody chłopiec z dalekich stron, noszący legitymację komsomolską w kieszeni. Życie zmieniło się wtedy w walkę, nieprzerwane pasmo wysiłków przekreślenia przeszłości, która dławiła jak pętla. „Ta rewolucja łagodna jak szyja łabędzia" — pisał młody poeta zapominając o przelanej krwi działaczy PPR-u i ZWM-u. Tymczasem codziennie zwiększała się lista ofiar, tak jak codziennie na miejsce zabitych przychodzili nowi, twardzi, nieustępliwi i zwycięscy. „Żelazny pierścień" kapitalizmu został rozerwany, z opłotków wiejskich, z zaułków dzielnic robotniczych przyszła młodzież, aby stoczyć „bój ostatni", tym razem o nowe wspaniałe życie, w którym bohaterstwo krwi przemieniło się w potrzebę bohaterstwa pracy. „Jest tyle bogactwa w naszym kraju, tyle ziemi jest w naszej Ojczyźnie. Mamy wszelkie warunki ku temu, aby w Polsce nie było już nigdy głodu, nędzy i bezrobocia" — pisali przed dziesięciu laty ZWM-owcy w swej deklaracji ideowej. Wyznaczali drogę pokoleniu, wskazywali kierunek uderzenia. I pokolenie nasze podjęło go, bo staje się pokoleniem Korczaginów.

„Pójdziemy na trudną pracę, do kopalni, dołożymy wszelkich sił, żeby jak najlepiej przysłużyć się Ojczyźnie. Wiemy, że w pracy też można być bohaterem" — te słowa nie mają w sobie nic z pustego patosu, wyrażają jedynie pewność obranej drogi. Nie wiem, czy tych pięciu młodych chłopców ze wsi Cieszęcin, członków Związku Młodzieży Polskiej, znało deklarację ideową ZWM-u? Nie to jest zresztą istotne. Im deklarację podsunęło samo życie, kształtujące świadomość. Nowa Huta i Żerań, FSC w Lublinie i Kędzierzyn, Gorzów i Wizów, siłownia w Dychowie i osiedla robotnicze przy kopalniach, spółdzielnie produkcyjne na wsi i pewnik, że Polska to plac tysiąca budów, na którym gdziekolwiek się obrócisz, tam stawiają coś nowego — nakazało młodym wiejskim chłopakom podjąć apel na zaciąg pionierski. Swym czynem wzmogli istotny sens tamtej deklaracji sprzed dziesięciu laty, deklaracji najlepszych i najofiarniejszych. Siła oddziaływania ideowego ZWM-u tkwiła jednak nie tylko w sformułowaniach ideologicznych, tkwiła w działaniu, a więc w potwierdzaniu czynem deklaracji ideowych. Pierwsza epoka „pokolenia walczącego" to zwycięskie zmaganie się z faszyzmem, obcym i rodzimym w okresie walki z okupantem, w okresie reformy rolnej, referendum i wyborów. To walka o młodzież, zrzeszoną w TUR-ze i Wiciach lub pozostającą poza wszelkimi organizacjami. To mozolne przekonywanie o walce klas i jej konsekwencjach, zdzieranie z programów Akowsko-PSL-owskich szyldu i ukazywanie ich prawdy burżuazyjnego posługacza. To wpajanie ideowości w masy młodzieżowe i piętnowanie podłości, zdrady i zaprzaństwa. Z pokolenia, wyrosłego w trudnych warunkach, dynamiczna siła, zwana Związkiem Walki Młodych, stworzyła Związek Młodzieży Polskiej. Z pokolenia tego wyrośli budowniczowie Nowej Huty. A to pokolenie budowniczych jest już pokoleniem Korczaginów.

„Bronek to syn biedniaka. W Polsce obszarniczo-kapitalistycznej pracowałby dla kułaków „aby żyć" i żyłby po to tylko, by być wyzyskiwanym" — pisał o losie chłopskiego syna Bronisław Gołębiowski na marginesie dyskusji nad książką Czeszki „Pokolenie" („Wieś" nr 344). W pierwszej fazie walki do 1949 r. ów Bronek pracował u kułaka Kubisia, cieszącego się jeszcze wtedy na wsi autorytetem, a jednocześnie marzył o szkole. Tam zetknął się z członkami partii i ZWM-owcami, poznając prawdę o walce klas. Szkoła średnia w Kolbuszowej pomogła mu do zrozumienia wielu spraw dzięki napotkaniu w niej komunistów. Toteż, gdy przyszło do walki na jego wsi, Bronek staje po stronie walczących o nowe życie, zakłada świetlicę, w 50 r. wstępuje do partii, zostaje członkiem ORMO, staje się założycielem koła ZMP. Partia kształtuje jego charakter i działalność. „W myśl jej programu — pisze Gołębiowski — prowadzi intensywnie szkolenie polityczne, agituje za spółdzielczością produkcyjną. Rezultat? We wsi w roku 51 zawiązuje się komitet założycielski spółdzielni". Między tym skrótowo podanym życiorysem chłopca wiejskiego, a listem pięciu ZMP-owców ze wsi Cieszęcin istnieje wyraźny i głęboki związek. Jest nim wygrana walka o pokolenie, u której źródeł odnajdziemy deklarację ideową ZWM-u, wyrażającą głębokie przekonanie, że „z trudu naszego i walki powstanie nowa, radosna Ojczyzna". Przekonanie potwierdzane pracą i bohaterstwem.

Władysław Stępień

JAN GORAJ

MŁODY AGITATOR ROZORUJE KOPCE STARYCH KRETÓW

W województwie kieleckim do początku roku 1952 było 26 spółdzielni produkcyjnych, obecnie jest ich już 116. Do najpoważniejszych przyczyn opóźnionego rozwoju spółdzielni w tym województwie zaliczyć trzeba osłabienie pracy informacyjno-agitacyjnej w roku 1951 i początkach 1952. Kiedy ruszył aktyw partyjny, zeteselowski, nauczyciele, a także młodzież zetempowska, „krecia robota" kułacka została w dyskusjach z chłopami zdemaskowana i prawda szerzej i głębiej poznana dała w wyniku 5-krotny prawie przyrost spółdzielni.

Poniżej drukujemy wypowiedź zetempowca, licealisty napisaną na podstawie jego pierwszych doświadczeń agitacyjnych w powiecie, w którym „spółkopy kretów" kułack ich najmniej były okiełznane.

REDAKCJA

POWIAT pińczowski należy w województwie kieleckim do najbardziej opóźnionych w rozwoju spółdzielczości produkcyjnej. Jako początkujący agitator mogłem się przekonać, że źródłem takiego stanu był brak szerokiej, uświadamiającej pracy politycznej. Gdy w rodzinnej wsi podczas ferii podjąłem rozmowy i dyskusje z chłopami na zebraniach, spotkałem się z pytaniami, w których jasno dało się odczytać *edukację kułacką*. Nie powiem, żeby ci, co te pytania, wątpliwości i przypuszczenia stawiali, byli akurat kułakami albo ich zausznikami, choć może ci ostatni również do głosu dochodzili. Ważniejsze, że wróg pracował tu w naszym zastępstwie budował swobodnie i długo kolczaste zasieki w głowach chłopów. I teraz w dyskusjach przyszło mi te zapory zwalać. Chłop, jak wiadomo, jest ostrożny i lubi nową rzecz obstawić najdalej idącymi zastrzeżeniami. Od nich też zaczyna, tak, jak to dawniej przy targowaniu krowy, kiedy w pierwszą cenę sam nie wierzył ale stawiał ją, aby ta ostateczna, najniższa pokazywała, jak on to dużo ustąpił. W pytaniach więc, jakie mi chłopi stawiali, zawierała się ta górna granica, od której ich trzeźwe myślenie daleko odbiegało, ale, że pytania, wyrażające wątpliwości wróg tutaj mocno utrwalił, doszły one do głosu w jadowitej formie.

Pytano więc, czy w spółdzielniach lepiej się chłopom powodzi, bo podobno *niektórzy nawet twierdzą*, że jeszcze trochę a chłopi będą uciekać ze spółdzielni produkcyjnych.

Mogłem odpowiedzieć przykładami z najbliższych stosunkowo spółdzielni, jak w Złotej, Pełczyskach i Niegosławicach. — Spróbujcie sobie porachować, nie tylko mało ale i średniorolni: oto jak wygląda dochód w Złotej Władysława Buskiego. Wraz z żoną otrzymał już za r. 1951 — 78 q zboża, 48 q kartofli, 27 q buraków pastewnych, 259 kg cukru oraz — 5 i pół tysiąca złotych. Za 1952 r. pewnie jeszcze więcej.

Duże wrażenie wywarło na chłopach to, że mówiłem z obserwacji a nie z teorii tylko. Bo jak niewiarę w pomyślność spółdzielców tak i przekonanie o ich niepomyślności opierali na „twierdzeniach niektórych", nie dążąc do sprawdzenia pogłosek jawnie wrogich a bezsensownych w treści. Moje przykłady wzbudziły w nich chęć do osobistego przekonania się. Podważały bezkrytyczne dotąd powtarzanie zatrutych kłamstwem informacji kułackich. Wzbudziły czujność wobec gołosłowności, która uderzała w wyższą formę gospodarki rolnej. Bo na rozum umieli chłopi to pojąć, że maszyny i nie tylko traktor, ale również kopaczki buraków, kartofli, sadzarki, opielacze itd., że naukowa porada w siewie, zaprawie, pielęgnacji itd., że odpowiedni płodozmian, dobrane duże pola pod uprawę jednej kultury — to nie to, co „tytłanie" w gospodarstwie indywidualnym. Fakt jednak, że w powiecie było ledwie 2 — 3 spółdzielnie pozwalał kułakom (przy braku naszej wzmożonej pracy informacyjno - agitacyjnej) uogólnić ten stan na cały kraj i kiedy dynamika rozwoju osiągnęła już 5.000 spółdzielni — tutaj bałamucili chłopów, że sprawa spółdzielni idzie do upadku.

To bałamucenie nie przebierało w argumentach. Jak mogłem się zorientować, wróg koncypował je parami. W każdej parze dwa przeciwieństwa. Jeśli cię pytają, jaka pora doby? Mów, że dzień — jeśli to zbiją, twierdź, że — noc. Taka metoda przy nieco dłuższej akcji agitacyjnej z naszej strony, łatwo pozwoli odsłonić jej bzdurne sprzeczności i pokazać chłopom, jak to ich wróg chciał wodzić za nos, kpiąc sobie ze zdrowego rozsądku chłopa.

Bo proszę zwrócić uwagę. Pierwsza wątpliwość powtarzała „jak twierdzą niektórzy", że chłopi porzucą spółdzielnie.

Druga wątpliwość, jaką mi zwierzono według sformułowania „tych niektórych" zakłada przeciwieństwo tego, co zawiera pierwsza.

— Wszyscy chłopi pójdą do spółdzielni, bo przecież do obowiązkowych dostaw zboża doszły dostawy mięsa i mleka, podrosły podatki, więc chłopi w końcu, nie mogąc się wywiązać z obowiązków wobec państwa, będą zmuszeni wejść do spółdzielni.

Jak więc widać, wróg w swojej agitacji budował na *galimatjasie*. I noc dobra i dzień dobry, byle chłop mówił *nie*. Krucha to jednak podstawa. Bo wreszcie — nawet z pomocą tak niedoświadczonego agitatora, jak początkujący w tej pracy gimnazjalista — chłop się musi połapać, że jedno zaprzecza drugiemu. A w rezultacie dwa kłamstwa.

Drugie kłamstwo chciało ukryć fakt gigantycznej rozbudowy naszego przemysłu i jego znaczenie dla rozwoju naszej gospodarki narodowej.

Wyjaśniałem tę sprawę na różne sposoby. Przypominałem, jak to starzy chłopi pamiętają jeszcze emigrację za ocean, do Francji i Niemiec za pracą i chlebem. Czyjże tam przemysł, czyją potęgę budowali? Potęgę burżuazji największych państw kapitalistycznych, aby ta potęga tym łatwiej mogła zagrażać naszej ojczyźnie, naszemu narodowi i ludowi. Czyż nie mawiali chłopi (są dokumenty wspomnień w *Pamiętnikach Chłopów*), że tą siłą ilężby można zrobić w ojczyźnie? Czyż nie uświadamiali sobie, jak wielkim nieszczęściem był brak u nas wielkiego przemysłu? Czyż zaprzeczą, że młode pokolenie przed wojną nie miało już wyjścia ani za granice ani dostępu do fabryk krajowych i dusiło się na wsi bez pracy i nadziei na lepsze życie?

Czyż nie poznali chłopi w Polsce Ludowej co to znaczy rozwój przemysłu? Przemysłu, który dziś jest *własnością całego narodu* a nie prywatnych posiadaczy, a więc nie narzędziem wyzysku ale *rozwoju dobrobytu pracującego społeczeństwa*. Czyż dzisiaj nie ma powodu cieszyć się *bez zastrzeżeń* z powstawania Polski *przemysłowej*?

Jak ją już odczuli i będą odczuwali chłopi?

Miliony naszych robotników — to skąd, jak nie ze wsi? A więc praca, był i awans dla członków rodziny chłopskiej, a więc większy dochód dla pozostałych na gospodarstwie.

Młodzież w setkach tysięcy idąca do średnich i wyższych szkół — z jakiej to przyczyny, jak nie na skutek rozwoju przemysłu, dźwigni naszej gospodarki narodowej?

Rozszerzony i wciąż powiększający się rynek zbytu na produkty rolne (raz na zawsze otwarta gwarancja opłacalności produkcji rolniczej) — czyż nie na skutek rozbudowy przemysłu i przekształcania się Polski w kraj przemysłowy?

Z kolei mówiłem o już namacalnym wpływie przemysłu na rozwój rolnictwa. O jego planowaniu na wzór planów przemysłowej produkcji, o pomocy w maszynach, transporcie, wymianie, środkach uprawy, kredycie, agrotechnice itd., co wzmaga wydajność w rolnictwie i zwiększa dochody. Ale o tym jeszcze raz szczegółowiej powiem przy następnym punkcie.

Cóż zatem znaczą obowiązkowe dostawy sprzedażne jak nie ubezpieczenie *rozwoju gospodarki narodowej, który zaczyna się od rozbudowy przemysłu?* Pracującej klasie robotniczej, nowym milionom robotników i pracowników czyż nie trzeba zapewnić wyżywienia? Czy nie trzeba tej nowej potęgi w naszych miastach ubezpieczyć przed orgią spekulacji i paskarstwa? Czy nie jest to obowiązkiem narodowym? Czyż w tym dziele, które zakłada fundamenty pod Polskę już nie bezbronną a silną, pod przyszłość zapewniającą dobrobyt i kulturę całemu narodowi, czy w tym dziele wieś ma nie brać udziału? Czyż nie jest częścią narodu? Czy chłop nie rozumie, co to znaczy „budować się"? Czy nie odkłada wówczas? I czy ktokolwiek z sąsiadów powie mu wtedy, że *dziadzieje*? Przeciwnie, wszyscy dobrze rozumieją, że jest *na dorobku*, że stać go na to i ma gwarancje podniesienia swojej sytuacji. *Te gwarancje dla całego świata pracy w Polsce daje nam władza robotniczo - chłopska*, kierownictwo partii, która przewodziła zawsze proletariatowi w walce o obalenie klas wyzyskiwaczy i zniesienie różnic klasowych i wszelkich stąd wynikających niesprawiedliwości i zagrożeń dla człowieka. Te gwarancje daje nam *budownictwo wielkiego przemysłu socjalistycznego*.

Czy znów wróg klasowy próbował wam wmówić, że Nowa Huta, że Częstochowa, fabryki samochodów na Żeraniu i w Lublinie, traktory w „Ursusie", nawozy sztuczne w Tarnowie, Chorzowie i Kędzierzynie, cementownie w Opolu i Wierzbicy itd., itd. — to tylko na papierze? Nie, tego on już nie potrafi wmówić. Macie tu przecież w pobliżu kawałek wielkiego placu budowy, jaki pokrył cały nasz kraj.

Macie budowę wielkiej fabryki kwasu siarkowego koło Buska. Nie kończą się rozmowy i obliczenia chłopów w trójkącie Busko — Wiślica — Pińczów, gdzie pokłady glinki saletronośnej i wielu innych surowców ożywią przemysłowo cały ten obszar. A budująca się kolej Kielce — Busko? A inne linie, które przetną południe województwa kieleckiego?

Teraz z kolei chłopi odsłonili nową truciznę kułacką. Ta znów z poprzednią wątpliwością tworzyła parę na tej samej zasadzie sprzeczności i przeciwieństw.

Mianowicie, perfidna agitacja wroga w tym pytaniu, wbitym chłopu do głowy, grała na ograniczoności jego wyobraźni, na gubieniu się chłopa w perspektywach rozwoju naszego przemysłu, w buchalterii przyrostu produkcji przemysłowej w okresie Planu 6-letniego.

Pytanie i wątpliwość tak zostały mniej więcej sformułowane. — W spółdzielniach produkcyjnych mają chłopi piękne zbiory, bo państwo daje im dużo nawozów sztucznych i póki spółdzielni jest mało, nawozów tych jeszcze wystarcza, ale

(Dokończenie na str. 2)

MŁODY AGITATOR ROZORUJE KOPCE STARYCH KRETÓW

(dokończenie ze str. 1)

kiedy spółdzielni będzie dużo, wówczas nawozów wypadnie mniej na spółdzielnię i zbiory tam zmniejszą się bardzo.

Diabeł by nie wymyślił takiego dictum. Cóż, przegrywający wyzyskiwacz, wróg ludu i narodu, diabła dzisiaj zakasował w ohydzie środków, jakie stosuje zagrożony ostateczną zagładą.

Na początek rozwinąłem ten zarzut. Jak się bać, to bać nie tylko o nawozy. Dodajcie traktory i maszyny rolnicze, dodajcie transport samochodowy, linie kolejowe, dodajcie elektrownie i elektryfikację i dopiero łapcie się za głowę. Ale za głowę łapcie się z powodu wiatru, jakim kułak wymiótł wam rozum i pomyślunek z głowy.

Tak by właśnie było, kiedybyśmy siedzieli tylko na tym, co nam po kapitalistycznych rządach zostało z przemysłu.

Ale my budujemy wielki, potężny przemysł, którego cała siła idzie w przód, wybiega naprzeciw potrzebom rozwoju produkcji rolnej. Wybiega w obie strony, bo przecież wciąż wzrasta część narodu, zajęta pracą poza rolniczą, już przekroczyła 50 proc. całej ludności, wybiega naprzeciw tej, która w zmniejszonej ilości na większych przestrzeniach może większego dorobić się dochodu i spełnić większe zadania, przy mniejszym wysiłku, przy uwalnianiu się z dawnej mordęgi — dzięki właśnie tym wszystkim narzędziom i środkom, które wielki nasz przemysł da w obfitości, na bazie którego rozwijają się nauki i naukowe kierowanie produkcją rolną.

A to was podeszli kułacy. Martwią się oni o nasz przemysł, choć go wam przypominają w akumulacji socjalistycznej, do której poczuwać się dziś winien każdy obywatel w tych historycznych latach budowania fundamentów dla szczęśliwej przyszłości naszego narodu na całe wieki.

Natomiast nie martwią się o rolnictwo, które przecież wychodzi z największego zacofania, z największej bezradności w technice i organizacji pracy (rozproszona, indywidualna gospodarka), z największej ciemnoty produkcyjnej. Nie martwią się, że stanowi ona jedną z dwu głównych części gospodarki narodowej. I przed nią stoi obowiązek dorównywania tempu produkcji przemysłowej. Albowiem na takim poziomie chcemy dzisiaj zbudować narodowy dobrobyt, potęgę i kulturę naszej ojczyzny.

Oto jak was kołowali kułacy i wrogowie ojczyzny robotniczo-chłopskiej. Sami przecież widzicie, że warunkiem wyższych plonów, że warunkiem rozwoju spółdzielni jako gospodarstw i systemu gospodarki, który może pochwycić rytm produkcji przemysłowej — jest właśnie rozwój wielkiego przemysłu w Polsce.

Wszystko zależy od dźwigni naszej gospodarki narodowej — od rozwoju przemysłu i jego produkcji. Ale rzecz w tym, że my nie stoimy na miejscu. Że przemysł posuwa się siedmiomilowymi krokami naprzód. Powiększył już produkcję 3 razy w stosunku do przedwojennych czasów, kiedy rolnictwo dopiero podniosło ją o 30 proc. Nowe giganty i kombinaty jeszcze podwoją już osiągnięte wskaźniki przemysłu. Jakże się z jego mocą i pomocą nie wiązać dla wspólnego dobra narodu i każdego chłopa? Jakże nie tworzyć spółdzielni produkcyjnych, w których dopiero można zbudować potęgę narodu również i na wsi — potęgę i dobrobyt w sprawiedliwości utrwalony raz na zawsze, bo spółdzielnie zadają ostatni cios wyzyskiwaczom i wyzyskowi, odbierają ostatnią szansę odrodzenia się kapitalizmu na wsi, a przez to i w kraju.

Wbili wam ćwieka kułacy z nawozami — a co oznacza wielki kombinat kwasu siarkowego pod Buskiem, co oznacza gigant w Kędzierzynie i Opolu? Oznaczają gwarancję urodzajów na wszystkich polach w przyszłości. Mówią nam o tym, że kiedy Polska jest wreszcie państwem ludowym, chłop w sojuszu z robotnikami musi wnieść nowy patriotyzm, *patriotyzm dumy obywatelskiej*, patriotyzm, o którym po wiekach będą wspominały prawnuki z wdzięcznością.

Bo to nie czasy nieszczęśliwego, niewolnego i w nędzy i ciemnocie trzymanego chłopa. Tamte czasy wykluczały możliwość chłopskiej krytyki. Ale te mówią: możesz w sojuszu robotniczo - chłopskim budować potężną i bogatą Polskę, możesz utrwalić wspaniałą jej przyszłość, opartą na sprawiedliwości, jakiej nie znała dotąd historia. I jesteś przed tą historią za naród, za ojczyznę swą — odpowiedzialny.

Były to pierwsze moje rozmowy podczas ferii w rodzinnej wsi. Oczywiście nie mogły dać jeszcze pełnego rezultatu.

Przekonały mnie jednak, jak wiele one mogą wnieść światła, jak bardzo rozproszyć mroki bezsensownych krętactw kułackich, jak bardzo chłopi łakną rozmów, które by pogłębiły ich wiedzę o wielkich przemianach w naszym kraju i narodzie. Postanowiłem co niedzielę wracać do domu na gawędy w gromadzie. Kropla to w dziele agitacji, ale gdyby wziąć pod uwagę samą tylko młodzież szkół średnich i wyższych, z tych kropel powstałoby morze. A chłopi chcą gadania rzeczowego, ale z „nauką“ i traktują nas licealistów, zetempowców — poważnie.

Jan Goraj

HELENA BALICKA-KOZŁOWSKA

ZE WSPOMNIEŃ INSTRUKTORA OŚWIATOWEGO ZWM

Hanka Sawicka

Hanka (Sawicka) przydzieliła mnie do dwóch kół młodzieży robotniczej na Mokotowie.

Zebrania jednego koła odbywały się przy ul. Narbutta 25 w domu, w którym nad wejściem wisiała tablica z napisem: „Eintritt nur für unieformierte SS-angehörige“ („Wstęp tylko dla umundurowanych członków SS“). Idąc tam pierwszy raz myślałam, że to pomyłka w adresie. Był to jednak jeden z lepszych lokali — w lwiej paszczy bywa nieraz najbezpieczniej. W domu tym Niemcy pozostawili polskiego dozorcę, żeby im sprzątał i palił w centralnym ogrzewaniu, a dwoje dzieci tego dozorcy było członkami naszego koła.

Do domu tego za często chodzić nie było można, ale za to jakie pewne schowanie miały nieliczne zetwuemowskie parabelki i visy w esmańskim koksie! Podczas zebrania trzeba było mieć w pogotowiu patefon i nie rozkładać się zbytnio z prasą, bo esesowcy wpadający nieraz do kuchni, mogli zawsze zajrzeć i do pokoju, a wtedy zebraniu trzeba było momentalnie nadać pozór zabawy.

Treścią każdego zebrania było omówienie sytuacji politycznej i wojskowej w świecie, w kraju, w Warszawie, pogadanka albo referat z dyskusją i sprawy organizacyjne.

Do szkolenia ideologicznego przywiązywaliśmy w ZWM równą wagę jak i do bezpośrednich akcji — a powszechnie wiadomo jak zetwuemowcy rwali się do walki i jak potrafili walczyć. Każde koło miało opracowany plan pracy szkoleniowej — Mokotów zgłębiał w 43 roku teorię rozwoju społecznego. Poza tym nieraz doraźnie omawialiśmy poszczególne tematy najbardziej istotne w naszym ruchu jak np. zagadnienie walki czynnej, strajku, a nawet tematy historyczne, jak powstanie kościuszkowskie w związku z jego 150-letnią rocznicą.

Od października 43 roku wielką pomocą w pracy oświatowej był nam regularnie wychodzący, powielany „Poradnik Oświatowy“ zawierający referaty, wyjątki z dzieł klasyków marksizmu - leninizmu, tak trudno wówczas dostępnych, wyjątki z literatury pięknej, wiersze, sprawozdania z wzorowo prowadzonych zebrań na kołach — i w każdym numerze wyczerpująco omówioną sytuację wojskowo-polityczną. Większe referaty ukazywały się osobno w formie powielanych broszur (np. o Związku Radzieckim, o położeniu młodzieży w Polsce sanacyjnej itp.). Książki, które nam były potrzebne wyciągaliśmy zewsząd, nawet z biblioteki uniwersyteckiej, gdzie wstęp był surowo wzbroniony.

Koła we własnym zakresie organizowały akcje propagandowe, jak kolportaż rzucany, podkładany, malowanie, nalepkowanie, kredkowanie.

Nasze koło z Narbutta robiło „rzucanki“ pod megafonem na rogu ul. Puławskiej i Rakowieckiej, przed kościołem św. Michała i Jezuitów. Cała trudność tych kolportaży polegała na umiejętnym rzucie paczki pisemek tak, żeby w locie rozsypały się na wszystkie strony i spadały na ludzi, jak rzucone z samolotów.

Do większych akcji propagandowych należało też plakatowanie i malowanie napisów farbą — na domach, ogrodzeniach, chodnikach. Na akcje te chodziliśmy większymi grupami ze zbrojną (nie zawsze) „obstawą“. Do dziś jeszcze zachowały się na ul. Racławickiej na Mokotowie i gdzieindziej napisy robione przez zetwuemowców na 1 maja 1944 r.: „Pierwszy maj wzywa w bój“, „Drugi front — chwyćmy broń“.

Kolportaż podkładany polegał na wrzucaniu pism *(Walki Młodych, Głosu Warszawy, Gwardzisty, Trybuny Wolności*, a w 44 i *Krajowej Rady Narodowej i Armii Ludowej)* do skrzynek listowych w domach (niektóre koła miały dorobione klucze do skrzynek ogólnych, jakie posiadają listonosze) i pozostawianiu pism na schodach. Oprócz tego każdy z nas miał swe „prywatne“ koło odbiorców.

Napisy kredką robiliśmy na akord — kto zrobi więcej, czytelniej i w bardziej widocznych miejscach. Nalepki najczęściej obok napisu miały rysunek ośmieszający okupanta. Przyklejaliśmy je najchętniej na przystankach tramwajowych

*

Część członków kół należąca do Gwardii (a potem Armii) Ludowej przechodziła szkolenie wojskowe i brała udział w większych akcjach jak kolejówki (wykolejanie pociągów przez rozkręcanie szyn, wysadzanie w powietrze), podpalania, eksy (ekspropriacje czyli wywłaszczenia). W 44 roku bardzo efektowną akcją propagandową zrobioną przez parę kół warszawskich było organizowanie masówek w szkołach zawodowych i w fabrykach, połączone z rozdawnictwem prasy.

Niezbędnym uzupełnieniem tych akcji były rozbrojenia poszczególnych żołnierzy i oficerów niemieckich i granatowych policjantów. Broni mieliśmy szczególnie na początku mało. Później w różnych akcjach zdobyliśmy sporo broni krótkiej, granaty i butelki zapalające produkowaliśmy sami.

Każda dzielnica miała swego przewodniczącego i komendanta wojskowego.

Przewodniczącą dzielnicy Warszawa Południe w 1943 r. była Zośka Jaroszewicz. Romantyczną dziewczynę piszącą wiersze przywiodło do komunistycznej organizacji młodzieży głębokie odczucie krzywdy ludzkiej i wola zmiany warunków życia wszystkich biednych ludzi.

„Kasia“, bo taki był pseudonim Zosi, w organizacji wyrasta na dzielnego, odpowiedzialnego organizatora i żołnierza, świetnego — w słowie i piśmie — propagatora.

Komendantem wojskowym Mokotowa był Tadzik Domański, który po śmierci Zawiszy (Olszewskiego) w marcu 43 r. został komendantem wojskowym wszystkich zetwuemowych oddziałów. Tadek dość długo namyślał się nim wstąpił do ZWM-u — wertował prasę różnych organizacji, dowiadywał się, porównywał kiedy się zdecydował, oddał się całą duszą robocie. Brał on udział w kilku większych akcjach jak obrzucenie granatami garaży, podpalenia, wszędzie wykazując wielką odwagę i zmysł organizacyjny. Tadek pochodzący z rodziny inteligenckiej wyjątkowo umiał się zżywać i zaprzyjaźniać z chłopcami z rodzin robotniczych, swoją postawą umiał osiągnąć niewymuszony posłuch u chłopców. W sposobie bycia był szorstki — podczas wojny furmanił i bardzo się zżył z tym zawodem, znajomych pewniejszych chłopaków wciągał do ZWM-u.

Po jego śmierci w sierpniu 43 roku komendantem wojskowym kół na Mokotowie został Rysiek Lenkiewicz, doświadczony współuczestnik wielu bojowych akcji. Dzielny ten i wesoły chłopak poległ w grudniu 43 roku razem z Antkiem Szulcem w starciu z żandarmerią na ulicy Boboli, wracając z akcji. Śmierć jego została głęboko odczuta przez współtowarzyszy.

Przychodziła do nas zawsze młodzież gorąca, wielu z nich porzucało organizacje akowskie, nie chcąc stać z bronią u nogi. Ale poza tym byli oni krańcowo różni: uświadomieni politycznie synowie komunistów i ci, których życie nauczyło odróżniać dwie strony barykady — i inni, którym było wszystko jedno, do czego należą, byleby bić Niemca. Tych przede wszystkim trzeba było wychowywać na świadomych bojowników, na komunistów. Oczywiście wychowanie nie polegało tylko na szkoleniu na zebraniach oświatowych. Następowało ono w pracy i walce, we wzajemnym obcowaniu ze sobą.

Niejednakowy był też stosunek zetwuemowców do samego szkolenia, na które w ZWM-ie był kładziony ogromny nacisk. Większość zetwuemowców żywo interesowała się poruszanymi społecznymi, gospodarczymi i historycznymi zagadnieniami, prosiła o książki, dokształcała się sama, dyskutowała. Niektórzy, nieliczni zresztą uważali szkolenie za stratę czasu i trzeba im było podawać wiadomości w formie możliwie zajmującej.

Celowała w tym zwłaszcza Dziula Zieleńczyk, która opracowała niektóre zagadnienia np. Komuny Paryskiej, Pierwszego Proletariatu w prawdziwie artystyczny sposób — obsługiwała wtedy większą ilość kół, a jej sposób ujęcia tematu, piękny głos i bezpośredni, serdeczny i swobodny stosunek do młodzieży, jednał jej wszystkie bez wyjątku serca.

Zebrania szkoleniowe były uzupełniane nieraz lekcjami, bo nie wszyscy członkowie kół mieli wystarczające podstawowe przygotowanie.

Nieraz, zebraniom przysłuchiwały się matki zetwuemowców, nieraz ojcowie, starzy, zahartowani w walce robociarze-komuniści, jak tow. Sowa, opowiadali o czasach przedwojennych, o roku 1905, o więzieniach carskich i sanacyjnych, o strajkach robotniczych. Zżywaliśmy się coraz mocniej ze sobą, z robotą, z organizacją.

*

Kilkunastu instruktorów oświatowych ZWM, rekrutujących się spośród studentów, przeważnie b. Życiowców-Kazetwuemowców tworzyło dwa koła instruktorskie, tzw. oświatówki. Jedno z nich, do którego należałam prowadziła Hanka (Sawicka).

Hanka niezwykle umiała kojarzyć serdeczność, prostotę, bezustanną troskę o innych z wielkimi zdolnościami organizacyjnymi, z surowością — gdy było trzeba. Wymagała wiele od nas wszystkich, ale najwięcej od siebie.

Hanka wielką wagę przywiązywała do samokształcenia, nie znosiła powierzchowności i frazesów. Dążyła do tego, aby zetwuemowcy stali się awangardą młodzieży polskiej. Prywatnie była strasznie miłą, uczuciową dziewczyną, zawsze i we wszystkim wierną swoim zasadom, wytrwałą do ostatnich granic. Nie była wcale tak surowa i zacięta, jak się ją przedstawia na licznych reprodukcjach. „Okrągła“ niewysoka figurka, śliczne, gęste, falujące włosy, różowe policzki i czarujący uśmiech — taka właśnie była Haneczka.

Treść zebrań instruktorskich była podobna do zebrań kół — tylko na wyższym poziomie i wyższym stopniu organizacyjnym. Niektóre referaty wygłaszane na kole były to małe prace naukowe pisane w trudnych warunkach braku czasu i dostępnych bibliotek. Gotowych opracowań na potrzebne tematy wtedy nie mieliśmy — trzeba było samemu wyciągać materiał z burżuazyjnych książek i opracowywać go po marksistowsku.

Hanka Sawicka i Helena Balicka

Nieraz zebrania instruktorskie wskutek braku czasu w dzień — prawie wszyscy z nas pracowali, a wczesna godzina policyjna uniemożliwiała pracę wieczorną — odbywały się w nocy. Po właściwym zebraniu jedzono kartoflankę albo kaszę, a potem jakoś sen uciekał i rozpoczynały się długie nocne rozmowy, którym towarzyszyło nieodmiennie cerowanie pończoch przez dziewczęta z Hanką na czele. Wyobrażaliśmy sobie wtedy chwilę wyzwolenia przez wojska radzieckie i polskie, skracając w marzeniach czas, i odległość dzielącą nas od idącej niepowstrzymanie od Stalingradu na zachód Armii Czerwonej. Mówiliśmy o najważniejszych zadaniach, jakie staną przed nami w momencie wyzwolenia i dalszej odbudowy kraju, i o tych, które dziś przed nami stoją. Przyszłość i teraźniejszość przeplatały się ze sobą. Kiedyś Hanka powiedziała: „Tak bym chciała kiedyś móc organizować całą polską młodzież...“

Poza sprawami dydaktycznymi i omawianiem sytuacji wojskowo-politycznej na zebraniach tych były poruszane sprawy organizacyjne. W tych wytartych słowach mieściło się życie i rozwój — mieściła się śmierć i zdrada, „spalenie“ ludzi i lokali. Pamiętam ostatnie zebranie, na którym widziałam Hankę: Było to na ulicy Długosza na Woli. Zetwuemowcy raźnie zabrali się do roboty — w okresie z którego składano sprawozdanie przybyło szereg nowych kół, na innych praca rozwijała się dobrze, przeprowadzono szereg udanych akcji. Wszyscy żartowali, Hanka przekomarzała się z Jurkiem Morawskim, mówiła, że mu zazdrości dziecka i że koniecznie musi mieć kiedyś dzieci.

A w dwa czy trzy dni później nadaremnie oczekiwano Hanki na paru zebraniach kół, gdzie była umówiona. Ciężko ranną przesłuchiwało wtedy gestapo na Szucha.

Nieraz zamiast dyskusji nad referatem czy omawiania nowych akcji trzeba było szukać nowych lokali, z trudem nawiązywać zerwane przez jakąś wsypę nici.

*

Zebrania kół instruktorskich po śmierci Hanki prowadził „Kazik“ — Janek Krasicki. Niewysoki, szczupły, o ciemnoszafirowych oczach — wyglądał znacznie poważniej, niż na jedynej ocalałej fotografii.

Szła wiosna, lokali było mało, toteż zebrania odbywaliśmy w parku Sowińskiego na Woli. Jak była pogoda, to choć po parku kręciło się dużo ludzi, grupa nasza usadowiona w kącie pod topolami nie zwracała na siebie zbytniej uwagi. Natomiast gdy lało, grupka młodzieży skulona na ławkach w opustoszałym parku wyglądała conajmniej dziwnie.

„Kazik“ świetnie prowadził zebrania — miał ogromny zasób wiadomości i umiał je jasno przekazać. Pamiętam szczególnie jego wyczerpujący referat o polskim ruchu podziemnym i jego historii od 1939 i o powiązaniu z przedwojennymi partiami politycznymi. Dziesiątki grup, blisko sto pism, często zmieniających swą nazwę, używanie przez wiele z tych grup lewicowej frazeologii czyniło niezmiernie trudnym orientowanie się w tym chaosie. „Kazik“ niezwykle jasno, dokładnie i dogłębnie analizował nam wówczas współczesną sytuację polityczną, po marksistowsku przedstawiając zmiany grup, programów, różne fuzje i rozłamy na podłożu zmieniającej się sytuacji politycznej.

Gdy „Kazik“ zginął, koło poprowadził Jurek Morawski. Zebrania odbywaliśmy u „Zygmunta“ w Wawrze, a po jego śmierci u Haliny na Grochowie. Tam też jednocześnie odbywaliśmy przeszkolenie wojskowe. Marcin - Kolejarz (Skowroński), zwany tak od tego, że dokonał licznych „kolejówek“ uczył nas obchodzenia się z bronią, dawał dokładne instrukcje jej użycia.

Wiele mieszkań służyło jednocześnie kilku celom, co było sprzeczne z zasadami konspiracji, ale na to rady nie było. Np. mieszkanie Domańskich przy ul. Racławickiej na Mokotowie służyło licznym zebraniom paru różnych kół (troje Domańskich było w robocie), przez długi czas znajdowała się tam drukarnia, na strychu był skład broni — a jeszcze przez kilka tygodni ukrywał się w 42 roku zbiegły z niewoli krasnoarmiejec — Uzbek Ibrahim. U wielu zetwuemowców zresz-

(dokończenie na str. 7)

SIEWNIK I PROCENTY

(Z pamiętnika ZWM-owca wiejskiego)

Kumie! Co wy najlepszego robicie? Sól potasową marnujecie — chrzestny mój, instruktor rolny z gminy zeskoczył z roweru i złapał się za głowę. Ojciec szedł środkiem redlin wschodzących kartofli i pełnymi garściami sypał 40 proc. sól.

— Co wy, kumie, robicie? — powtórzył. — Marnujecie sól potasową.

Ojciec stanął i niepewnie spojrzał na instruktora.

— Marnuję — powiadacie? Toć ja myślał, że ją się tak samo stosuje pogłównie, co saletrzak — ojciec z frasunkiem podrapał się po głowie.

— A czemu, wy, kumie, tacy czarni jak za przeproszeniem nieboskie stworzenie? Za belzebuba się robicie, czy co?

Instruktor trząsł się ze śmiechu. Lecz memu ojcu nie do śmiechu było, gdyż azotniak, który wczoraj próbował rozsiać, mało mu oczy nie wyjadł. Czarną chmurą ulatywał na sąsiednie pola i tyle ojciec skorzystał, co się usmolił. Nawet i mydło wieczorem nie pomogło. Ślady na twarzy zostały.

— Ano — powiedział ojciec do instruktora — kiedyś ty, kumie, taki mądrala, to postaw rower i dosiej ten pioruński azotniak, a jak nie będziesz potem takim nieboskim stworzeniem, postawię baryłeczkę piwa.

Po chwili namysłu dodał jednak. — Postawię, pod warunkiem, że ten nawóz nie poleci z wiatrem na pola Maciejowe, lecz pokryje moje równiuteńko.

— Zgoda, zgoda, kumie — zapewnił ojca instruktor — Trzymam was za słowo i jestem tego pewny, że w niedzielę pęknę od waszego piwska! A więc przyślijcie dziś wieczór mego chrześniaka z koniem do Węgrowa, to dam takie „coś“, co pomoże.

Spokoju ojcu nie dawało to wysiewanie azotniaku. Wieczorem był zafrasowany i ciągle myślał, że może go instruktor — pędziwiatr oszukał. Ale że słowo dał, więc wysłał mnie do Węgrowa. Zastałem swego chrzestnego, w resztówce ZSCh, gdzie majstrował coś przy skrzyni zielonej na kołach. Powiedział mi, że to siewnik nawozowy, ale takiego siewnika nikt dotąd u nas we wsi nie oglądał. Tłumaczył mi długo chrzestny, żebym wiedział, jak z tą maszyną się obchodzić i ja wnet zrozumiałem, bo była ona prosta w użyciu.

— Słuchaj, mój chrześniaku — powiedział na koniec — u mnie zanocujesz, a skoro świt pojedziesz wprost na pola i zrobimy ojcu niespodziankę.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się. A to mi się przydarzyła gratka. Będzie mnie teraz tata szanował.

* * *

Dniało, zapiały trzecie kury, różowa jutrzenka ukazała się na wschodzie. Cicho podkradłszy się pod stodołę, złapałem Burka za kark i zamknąłem go w chlewie. Potem wyniosłem azotniak, który wsypałem wraz z solą potasową do skrzyni. Cichutko wyjechałem na pole. Kasztan ruszył, za siewnikiem pozostawał szeroki, równiuteńki granatowo-biały pas ziemi. Granatowy od azotniaku, białawy od zmieszanej z azotniakiem soli potasowej; choć wiał nawet spory wietrzyk, nawóz nie rozpylał się, lecz osiadał warstewką na roli.

Nadbiegł ojciec, za nim matka. Przystanęli i nie mogli wyjść z podziwu. Pojawił się i sąsiad Maciej. Ojciec mimo woli porównywał wysiew maszynowy ze swoim „sianiem“. Azotniak leciał z wiatrem, kłuł w oczy, bił w nos i zasypywał oczy, a płachta uciskała ramiona, pożal się Boże, jaka to była męka!

— Ano — powiedział sąsiad — dobre to, ale kosztować będzie nie mało. Frączak jak wypożycza siewnik zbożowy, to liczy sobie pięć dniówek odrobku.

— Zapłacicie dwieście złotych (w starej walucie) — odpowiedziałem wyraźnie wymawiając każdy wyraz.

— Dwieście złotych? To niemożliwe? — pytali wszyscy zdziwieni. A sąsiad dodał, że i w ZSCh z pewnością siewnik zbożowy droższy. Akurat na te słowa nadjechał mój chrzestny na rowerze i śmiejąc się dorzucił, że w Samopomocy stawki są niskie, bo rząd nasz ludowy ulgę dla chłopa robi, by pomóc mu, maszyny daje i opłaty z nich niewielkie.

Ojciec westchnął i powiedział. — Przegrałem tę baryłeczkę piwa i postawię wam ją dzisiaj.

Na to mój chrzestny. — Byłoby to po kułacku, żebym od was wziął całą baryłeczkę. Postawicie parę kufli i między nami kwita. A siewnik niech chrześniak sąsiadom użyczy, jak robotę skończy, pod jego zostanie opieką.

— Widzę — powiedział mój ojciec — że siłą nie zawsze poradzi, trzeba i głową!

* * *

Wracałem ze wspólnego zebrania ZWM-u i „Wici“, gdy usłyszałem głos ojca. Przez otwarte okno dobywał się teraz głos bogacza Frączaka. Zacisnąłem pięści, gdyż...

— Ja wam, kumie, pwiadam, że z tymi kredytami to propaganda i nic więcej. Prędzej mi włos na dłoni wyrośnie, niż wam dadzą cośkolwiek. Toć musicie mieć na to dwóch porządnych gospodarzy, a kto wam dziś poręczy? Czy wy już, kumie, w Boga nie wierzycie, że od komunistów pożyczać chceta? Jakby już uczciwych ludzi na świecie nie było? Toć ja wam gotów jeszcze krzynę poczekać na zwrot tych 20-tu „kawałków“, a wy mnie coś jeszcze pomożecie. W Banku, jak na czas kredytu nie zwrócita, to wam ostatnią krowinę zlicytują, nie mówię już, że procent płacić musicie. A u mnie, wiecie, jak to jest. Trzeci rok cierpliwie czekam i wam nie wymawiam. Byście mi tylko trochę w polu pomogli, a jakoś się zawsze zgodzimy. Spaliliście się wy, to ja jak na katolika przystało, pożyczyłem wam. A żeśta mi pomogli, to was przecie nie kosztuje, jeszcze zarobek macie. A do tej Samopomocy nie powinniście chodzić, czy w niej jakiś uczciwy gospodarz jest, dziady same. To wy, chcecie z takimi trzymać, wy, gospodarz z dziada pradziada? Albo ten wasz chłopak, co z niego wyrośnie? — Frączak aż śliną pryskał z oburzenia. — Czy wy wiecie, że on do ZWM należy? Czy wy wiecie co to ZWM, przecież to prawie to samo co PPR. Na co wy, kumie, dzieci napłodzili, żeby komunistami zostały? Jak by u mnie krowy pasł, to by przynajmniej czystą duszę miał i zbawioną, a tak do piekła mu droga i to na same dno. Więc, ja wam, kumie powiadam, o ile wy jeszcze w Boga wierzycie, żebyście z synalkiem swoim zrobili porządek, niech przyjdzie do mnie do roboty, a ja jeszcze pożyczę. Co wy kumie na to?

Ojciec westchnął. Nie mogłem wytrzymać, przeskoczyłem przez ramę okienną i stanąłem przed nimi. Frączak zmieszał się trochę. Zwróciłem się do ojca i spytałem cicho drżącym z wściekłości głosem.

— Pozwólcie tato, niech ja odpowiem naszemu „dobrodziejowi“.

— Tu rozmowa między starszymi, nie wtrącaj się — krzyknął Frączak.

— Nie myślcie Frączak, że jestem dzieckiem, mam prawo wtrącić się w sprawy, które decydują czy będę niezależnym człowiekiem czy waszym pastuchem. Mnie inaczej w ZWM-ie uczą. Zapamiętajcie to sobie dobrze, stare czasy się skończyły. Już nie będę u was pasał za łyżkę kwaśnego mleka. I łaski waszej nie potrzebujemy. Powiadacie, że nam bezinteresownie jako katolik pomogliście i przyszliście z sąsiedzką pomocą i my wam za to gotówką płacić nie musieliśmy? To prawda, ale płaciliśmy potem i pracą niewolniczą, od której już cała rodzina gnatów dziś nie czuje. A zboże nam ubiegłego roku zgniło i kartofle pod grudą zostały...

— Dopust boży — mruknął Frączak. — Całe lato...

— Nie dopust boży, „dobrodzieju“ — przerwałem. Nie Boga to sprawa była, a wasza. Jak my najpierw musieli wam pomagać kosić, to nasze na deszczu przegniło. Wy zawsze powiadacie, żeśmy wam tylko „troszkę“ pomogli, liczyć niby nie umiecie? Ale ja was nauczę, „krowi poganiacz“, was nauczy!... Za pożyczkę 20.000 zł wymogliście na ojcu 20 tygodni pracy przez dwa lata czyli 140 dni, a licząc najmniej 300 zł dziennie to jest razem 42.000. A oprócz tego przez was zgniło nam zboże i zamarzły kartofle. A teraz wam obliczę, — nie przerywajcie mi, ilebyśmy państwu oddać musieli — 20 tys. przy oprocentowaniu 8 od sta to jest 1600 zł rocznie czyli po dwóch latach oddalibyśmy całej sumy 23.200 zł...

— Takiś mądry! — przerwał mi ze złością Frączak. Dlaczegoś tam nie poszedł, a do mnie? Teraz wymawiać łatwo...

— Jak miałem iść do Banku, kiedy tam rok temu tacy jak wy siedzieli — powiedziałem mu ze spokojem. — Mikołajczyk naprzyjmował „swoich“ ludzi, dziedzice czuli się tam jak u siebie na folwarku, to dla biednego chłopa miejsca nie było.

Ojciec popatrzał na mnie jakby nic nie rozumiejąc. Zwróciłem się do niego i dodałem.

— Nie martwcie się, tato, poręczyciele się znajdą i pożyczkę dostaniemy...

* * *

Ojciec nie mógł na mnie przez parę dni patrzeć. Był zły, ale nic mi nie powiedział. Nosił w sobie jakiś żal do mnie. Ale gdy przyszło zawiadomienie z Ministerstwa, że przyznano nam kredyt na odbudowę gospodarki w sumie zł 50.000 nie wytrzymał:

— Ale wyzyskiwacz. Łobuz jeden. Miał na myśli Frączaka i innych.

Bronisław Piątkowski

MARIAN ŚWIETLIK

O NIŻSZYCH TYPACH SPÓŁDZIELNI

(Na marginesie kwartalnika „Zagadnienia ekonomiki rolnej")

Zagadnienie wychowania mas chłopskich sprowadza się przede wszystkim do zastosowania takich sposobów, form i metod przejścia chłopów od gospodarki indywidualnej do uspołecznionej, które by łączyły osobiste zainteresowanie mas chłopskich we wstąpieniu na socjalistyczną drogę w rolnictwie

Lenin i Stalin wielokrotnie wskazywali w swoich pracach na konieczność respektowania przez partię w jej polityce na wsi osobistych zainteresowań i przyzwyczajeń chłopskich, jak również umiejętnego podchwytywania i uogólniania tych wszystkich form kolektywnej pracy, które wychodzą od samych chłopów i wynikają z ich własnego doświadczenia. Tak np. Lenin na VIII Zjeździe partii, przestrzegając przed próbami komenderowania chłopami, bardzo mocno podkreślał konieczność uczenia się od chłopa sposobów przejścia do lepszego ustroju. Zasada respektowania żywotnych interesów chłopstwa pracującego i ich własnych sposobów w socjalistycznych przekształceniach na wsi stała się kamieniem węgielnym stosunku partii do chłopów w okresie przejściowym, a także i w okresie socjalizmu.

Uwzględnianie osobistych interesów chłopa i podporządkowanie ich ogólnym interesom odbywało się i odbywa w różny sposób w różnych etapach rozwoju naszego państwa. Inaczej realizowało się zasadę kojarzenia osobistych interesów chłopstwa ze społecznymi w okresie przeprowadzania reformy rolnej, w okresie handlowej więzi między miastem a wsią, kontraktacji, planowego skupu, inaczej w spółdzielniach produkcyjnych. Forma i treść kojarzenia interesów uwarunkowana jest stopniem umocnienia władzy państwa ludowego, jego siłą ekonomiczną, a z drugiej strony poziomem świadomości społeczno-politycznej podstawowych mas chłopskich i etapem walki klasowej.

Największą możliwość w wiązaniu i podporządkowywaniu interesów chłopów z interesami ogólnonarodowymi stwarza spółdzielczość na skutek swego bogactwa form i szczebli kojarzenia. Spółdzielczość bowiem jest najbardziej bliska i zrozumiała dla każdego chłopa już wówczas, kiedy zachowuje on jeszcze autonomię prywatnego gospodarstwa poprzez stwarzanie materialnego zainteresowania chłopa, równocześnie podporządkowuje to gospodarstwo budownictwu socjalistycznemu, wprowadza chłopów w łożysko tego budownictwa. Spółdzielczość zarazem jest tą formą, która stwarza możliwość przejawiania się aktywności i inwencji milionowych mas chłopskich, bez których nie jest w ogóle do pomyślenia budownictwo socjalistyczne. Stalin wielokrotnie podkreśla, że bez ogarniającej miliony chłopów spółdzielczości, która dokonała w nich nieodwracalnego przełomu psychicznego, nie byłoby masowego ruchu kołchozowego.

W naszej praktyce budownictwa socjalistycznego na wsi nazbyt często nie dostrzega się doniosłości spółdzielczości rolniczej dla przygotowania mas chłopskich do spółdzielczości produkcyjnej i co gorsza, nazbyt często nie spostrzega się olbrzymiej doniosłości wszelkich kolektywnych poczynań chłopskich w dziedzinie produkcji rolnej. Zagadnieniu temu poświęcona jest praca pt. **„Niższe typy spółdzielni produkcyjnych w Polsce"** umieszczona w numerze 2 kwartalnika „Zagadnienia ekonomiki rolnej".

Na całość pracy składa się siedem opisów spółdzielni produkcyjnych „niższych typów" (Zrzeszeń Uprawy Ziemi i Rolniczych Zrzeszeń Spółdzielczych) zaopatrzonych wstępem.

Dynamika opisywanych spółdzielni RZS (Ib) Ruda-Bugaj, RZS (Ib) w Broniszewie, ZUZ Kolonia Gałkówek, RZS (Ib) w Gorszewicach, RZS (Ib) w Głębocku, ZUZ w Konarach, ZUS w Kłodzie dowodzi po pierwsze bogatej inicjatywy chłopskiej w organizowaniu różnorakich form zespołowej pracy, po drugie — poważnej, praktycznej przydatności pośrednich szczebli w ramach ruchu spółdzielczości produkcyjnej i po trzecie — potrzeby przełamania utrzymujących się ciągle w pewnych kołach działaczy uprzedzeń, niechęci i niewiary w możliwości przeprowadzenia chłopów na tory gospodarki kolektywnej przy pomocy „niższych typów".

Szczególnie interesującą i wzbogacającą praktyków ruchu spółdz. prod. jest geneza opisywanych spółdzielni.

„Pierwszy etap zespołowej pracy Zrzeszenia to wspólna uprawa 40 ha **odłogów,** które spółdzielnia przyjęła z Funduszu Ziemi w maju 1951 r., od razu przystępując do ich uprawy. Wspólna uprawa odłogów przełamała wahania niektórych członków co do słuszności przejścia na gospodarkę zespołową". „Wspólna uprawa odłogów zespoliła najcenniejszy element w Zrzeszeniu do walki o rozwój spółdzielni. Było to poważne doświadczenie, które przekonało większość członków o wyższości pracy zespołowej i o konkretnych korzyściach mechanicznej obróbki ziemi. Przekonało ono o wielkiej pomocy państwa ludowego dla gospodarstw zrzeszonych, wyrażającej się w kredytach na nawozy, nasiona kwalifikowane, w pomocy Państwowego Ośrodka Maszynowego" — czytamy w opisie RZS(Ib) Ruda-Bugaj w pow. łódzkim. W innych wypadkach jak np. w ZUZ Konary, Gałkówek, Kłoda — członkowie spółdzielni rozpoczynali swoją pracę od wspólnego zagospodarowania resztówek, względnie łąki. Start i późniejszy rozwój spółdzielni jest szczególnie pouczający. Wynikają, że w wielu wypadkach **punktem wyjścia** w walce o dojrzałą, socjalistyczną przebudowę wsi mogą być proste, zdawałoby się odległe od skomplikowanych form spółdz. produkcyjnych **różnego rodzaju zbiorowe przedsięwzięcia chłopów** poszczególnych gromad. W zasięgu działalności POM w Olsztynku, woj. olsztyńskiego większa część ostatnio powstałych spółdzielni produkcyjnych i przeważająca ilość komitetów organizacyjnych wyrosła z zespołów likwidacji odłogów.

Niezbiurokratyzowani a wnikliwi działacze spółdzielczości produkcyjnej mogą na terenie niemal każdej gromady znaleźć sporo okazji do podchwycenia względnie zainicjowania rożnych **zespołowych akcji produkcyjnych.** Dla przykładu można by przytoczyć choćby wspomniane poprzednio zagospodarowywanie resztówek pofolwarcznych, częstokroć uprawianych przez GS lub GRN przy pomocy najemnej siły roboczej, doprowadzenie do wyższej kultury zaniedbanych zazwyczaj gromadzkich pastwisk i łąk, włączanie do powierzchni uprawowej względnych nieużytków (względnych z racji słabości techniki chłopskiej), zakładanie szkółek drzewek owocowych, **wspólne sianokosy, omłoty** itp. Wszystkie te proste, nieskomplikowane przejawy współdziałania chłopskiego mogą mieć doniosłe znaczenie w wychowaniu aktywu gromadzkiego, który z kolei podjąłby na wsi kampanię na rzecz spółdzielni produkcyjnej.

W okresie poprzedzającym powszechną kolektywizację w ZSRR partia zobowiązując swoje ogniwa do udzielenia maksymalnej pomocy podstawowym masom chłopstwa — średniakom i biedocie — wszelkim postaciom ruchu spółdzielczego (spółdz. spoż., rolniczej, wytwórczej i kredytowej) w szczególności zalecała organizacjom partyjnym popieranie prostych form pracy uspołecznionej, jak **wspólna uprawa ziemi, bądź też wspólne zbiory, wspólne sianokosy, wspólne posługiwanie się inwentarzem żywym lub martwym przy takich czy innych pracach w polu, uruchamianie przedsiębiorstw przetwórczych, jak olejarnie, suszarnie itp.**

Na terenie naszej wsi stwierdza się sporo **żywiołowych przejawów** współpracy chłopskiej. Należałoby nimi pokierować, nadać im skuteczniejsze formy organizacyjne, zachować ich ciągłość, rozszerzać ich zakres i podnosić na wyższy szczebel, z czasem nadawać im wzorcowe formy statutowe. Działacze ruchu spółdzielczego winni się wyzbyć szkodliwych dla wszelkich masowych ruchów społecznych tendencji do ich formalizowania, chęci ujmowania niezmiernie bogatych przejawów życia społecznego w sztywne formy organizacyjne, a przeciwnie — każdorazowo, w zależności od lokalnych warunków gospodarczych, złożoności form walki klasowej, siły poszczególnych układów ekonomicznych, dojrzałości społeczno-politycznej chłopów, tradycji i nawyknień w gospodarowaniu winni uczyć się dopasowywać do poszczególnych rejonów czy gromad takie formy organizacyjne, które stwarzałyby jak najlepszy klimat dla rodzenia się i zwyciężania nowego nad starym.

Jasne się staje, że takie rozumienie walki o socjalistyczną przebudowę wsi stawia przed działaczami spółdzielczości produkcyjnej sporo trudności, kłopotów, konieczność **bardzo wnikliwego rozeznania terenu, czujności.** Przytoczone opisy, wbrew opiniom niektórych „urzędników od spółdzielczości" dowodzą, że niższe typy spółdzielni produkcyjnych stwarzają znaczne możliwości rozwoju społecznego gospodarstwa, społecznej własności i pracy a zatem i przezwyciężania indywidualistycznych tendencji chłopów. Świadczą o tym osiągnięcia i plany gospodarcze opisywanych spółdzielni. Tak np. Zrzeszenie Ruda - Bugaj „zaprojektowało przeprowadzenie melioracji najbardziej podmokłych gruntów oraz zorganizowanie kilku przedsiębiorstw pomocniczych, które zwiększą dochód i pozwolą zatrudnić ludzi w martwym sezonie: kaszarnię, cegielnię polową, zarybienie 5 dotychczas niewykorzystanych stawów. Założenie 2 ha wikliny umożliwi rozwinięcie miejscowego przemysłu, w spółdzielni jest bowiem czterech dobrych koszykarzy.

W celu założenia wspólnej hodowli członkowie zamierzają zakupić 30 krów, 1 buhaja, 20 prosiąt, 1 knura, 30 owiec, 1 tryka. Zobowiązali się również odstąpić na rzecz hodowli zespołowej 10 krów i 6 koni" — (I. Bidowa — Rolnicze Zrzeszenie Spółdzielcze Ruda - Bugaj w pow. łódzkim).

Praktyka spółdzielni produkcyjnych „niższego typu" obala również przesąd, jakoby nie stwarzały one warunków i perspektyw dla biedoty wiejskiej. Faktem jest, że stwarzają one szczególne przywileje dla średniaków, ale też sytuacja biedoty wiejskiej zmienia się w nich radykalnie (np. ZUZ Gałkówek).

Następną fazą rozwojową powinno być przejście do wyższego typu gospodarki spółdzielczej. Proces taki może zajść jedynie wówczas jeśli biedota wiejska swoją pracą, stosunkiem do spółdzielczego gospodarstwa sprawi, że w oczach średniaka z czasem większego znaczenia nabierze dochód wynikający z pracy, kiedy średniak poprzez doświadczenie „wyliczy" sobie, że korzystniej dla niego będzie zrezygnować z doraźnych przywilejów na rzecz zwiększonej socjalistycznej akumulacji, stwarzającej szerokie możliwości rozwoju społecznego gospodarstwa (np. RZS (Ib) Ruda - Bugaj). Rozwiązanie tych nieantagonistycznych sprzeczności wydatnie może przyśpieszyć polityczna, organizacyjno - gospodarcza i agronomiczna pomoc partii i wszelkich instytucji wspomagających ruch spółdzielczości produkcyjnej a w szczególności pomoc POM-u.

Doświadczenia ZSRR, doświadczenia budownictwa socjalistycznego w krajach demokracji ludowej i nasze, polskie dobitnie potwierdzają konieczność zachowania w ramach spółdzielczości produkcyjnej pośrednich szczebli i respektowanie własnych chłopskich sposobów wchodzenia na tory gospodarki kolektywnej. Chodzi o to, żeby doniosłość tego zagadnienia dostatecznie uświadomił sobie szeroki aktyw ruchu spółdzielczości produkcyjnej. Stanie się to wówczas, jeśli walczący o nową socjalistyczną wieś spojrzą na różnorodne postacie zespołowej pracy chłopskiej oczyma dialektyka dostrzegającego to co nowe, to co toruje sobie drogę w walce ze starym.

Praca, na której marginesie poczyniono kilka tych uwag, zagadnienie to ułatwia zrozumieć.

Marian Świetlik

KRYSTYNA PAŁYS

TKANINY FRAMPOLSKIE

Fot. J. K. Maciejewski

TKACZY frampolskich przypomniał mi obrus w pięknym lokalu MDM-u, a wiadomo, że dla przystrojenia stolicy wybierano przedmioty i tkaniny, zasługujące na miano najpiękniejszych wytworów sztuki ludowej i naszego rzemiosła artystycznego. Chociażby z tych tylko względów warto było zainteresować się Frampolem, tym „lubelskim Żyrardowem", położonym w pobliżu miejsca, gdzie schodzą się granice trzech powiatów — biłgorajskiego, krasnostawskiego i kraśnickiego.

Frampol istnieje do dnia dzisiejszego, chociaż lotnicy hitlerowscy zrównali go w roku 1939 prawie z ziemią. O jego istnieniu decydowała i decyduje owa glinka-popielatka zmieszana z piaskiem, na której gospodarzą okoliczni chłopi z Rzeczycy, Sokołówki, Kątów, Starejwsi, Woli Kąteckiej i Radzięcińskiej. Sieją oni od dawien dawna wiele lnu, bo urasta tutaj bujny, na smukłych łodyżkach, z których kobiety wyczesują włókna lśniące i miękkie, dające się skręcać w cieniutkie nici o wyjątkowej mocy. Takiego lnu, jak pod Frampolem nie znajdziesz na całej Lubelszczyźnie, chociażbyś ją przewędrował wzdłuż i wszerz. Dlatego na ulicach osady słychać i teraz, regularny stukot warsztatów tkackich. Nie ma tutaj domu, w którym nie byłoby tkacza.

Osada przetrwała dwa i pół wieku, a przeżyła dwie rewolucje — pierwszą zaraz po wojnie rosyjsko-japońskiej, kiedy pojawił się we Frampolu Paweł Dudek. Skąd pochodził nie wiadomo, ale rzecz pewna, że znał się na tkactwie lepiej niż miejscowi i widział lepsze warsztaty. Sprowadził on do Frampola warsztat szerszy i ulepszony, w którym czółenek nie trzeba było przerzucać ręką, o sześciu „nóżkach", czyli pedałach. Na tym warsztacie tkał Dudek nie tylko cieńsze i szersze płótna, ale ozdabiał je wzorami. Powoli jego izba zamieniła się w szkołę zawodową chałupników, wyszli z niej najlepsi tkacze frampolscy. Z biegiem czasu ustalił się charakter ich wyrobów. Były to przeważnie obrusy albo „płachty" przetykane subtelnymi wzorami z kolorowych nici. Drobne motywy geometryczne układały się na nich w pasy niewielkiej szerokości. Zwykle po brzegach występował wzór szerszy, a pasy wewnętrzne były powtórzeniem motywu środkowego z wzoru obrzeżającego tkaninę.

✻

Tkaniny frampolskie zdobyły sobie popularność światową niepowszednią drogą. Powiat biłgorajski należał do najbiedniejszych, najbardziej gospodarczo zacofanych na Lubelszczyźnie, stamtąd też najwięcej chłopów wyruszało za morze szukać chleba w Ameryce, Argentynie, Brazylii, Kanadzie. Warsztat tkacki nie mógł też wyżywić całej rodziny — na szlaku Frampol, Biłgoraj, Gdynia, Atlantyk panował zawsze ruch. Jeśli ktoś wybierał się w daleką drogę, tkacze frampolscy dawali mu nieraz upominek dla krewniaka za oceanem. Jechały te upominki w tłomoczkach na dolnych pokładach okrętów razem z emigranckim dobytkiem, a na obcej ziemi przyjmowano je z płaczem serdecznym, bo wąskie pasy wzorów przypominały kwitnące błękitem zagony, bo obrusy pachniały łanami lnu spod Karolówki, Sokołówki czy Rzeczycy. Rodak przywoził w nich jakby całą ojczyznę.

Te lniane obrusy i ręczniki frampolskie przypadły mocno do gustu Amerykanom. Posypały się zamówienia i powoli następuje kapitalizacja rzemiosła tkackiego. We Frampolu powstają trzy wielkie warsztaty, zatrudniające po kilkunastu i więcej robotników. Jakaś spółka akcyjna z Poznańskiego próbuje też uszczknąć część zysków z lnu dla siebie, stawia pod lasem wielkie hale, kotłownię i budynek administracyjny — zamierza uruchomić międlarnię. Ale interesy finansowe tej spółki jakoś kulejąc, zaciąga pożyczki, w końcu ogłasza upadłość, a większość akcji wędruje nikomu bliżej nieznanym sposobem do kieszeni jednego z właścicieli prywatnych warsztatów we Frampolu. Tkacze frampolscy dzielą się wyraźnie w tych czasach na przedsiębiorców z wyrobionymi stosunkami, otrzymujących zewsząd zamówienia i na robotników, stukających całymi dniami ramami krosien.

✻

Drugą rewolucję przeżyli tkacze frampolscy po odzyskaniu niepodległości. Chałupnikom było coraz trudniej o surowiec i nabywców, ponieważ okoliczni gospodarze zaczęli masowo kontraktować len. (Chłopi z okolic Frampola dostarczają chyba połowę tego, co daje cała Lubelszczyzna). Za włókno otrzymywano gotowe tkaniny po niższych cenach, nikt nie oglądał się już na miejscowe wyroby. Chałupnicy zawarli w tym czasie umowy ze spółdzielnią „Włókno Krajowe" z Lublina i wykonywali dla niej różne zamówienia, przy czym otrzymywali surowiec. Zarobki mieli niewielkie, dopiero kiedy Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego zorganizowała na miejscu spółdzielnię pracy i ustawiła w dawnej międlarni pod lasem kilkadziesiąt warsztatów, Frampol zamienił się w mały regionalny Żyrardów. O murowanej hali mówi się już „fabryka", polepszają się zarobki, farbuje się wełnę i len, uruchamia oprócz tego trzy zespoły warsztatów w budynkach wynajętych. Brygadierem w „fabryce" jest Paulin Dudek, tkacz z trzydziestoletnią praktyką i uczeń owego Pawła Dudka, który wprowadził we Frampolu ulepszone krosna, nauczył ludzi tkać wzory, noszący dziwnym zbiegiem okoliczności nazwisko swego mistrza. Przodownikiem pracy w spółdzielni jest Wojciech Biernat, który nie ma nigdy mniej niż 150 procent normy, a Zofia Bielan to mistrzyni w tkaniu wzorów. Dużo młodzieży z Frampola kształci się w szkołach średnich i wyższych, sporo też przyszło do warsztatów, żeby kontynuować tradycje swojej osady. Ci przeszli szkolenie przywarsztatowe a potem trzymiesięczny kurs w spółdzielni. Czesław Dąbek zgłosił się np. na naukę zaraz po powrocie z brygady junaków SP, a Leokadia Marchewka i Władysława Białkowska przyszły z warsztatu chałupniczego. Cały wysiłek spółdzielni zmierza do przebudowy drugiej części hal i umieszczenia wszystkich warsztatów spółdzielczych w jednym budynku.

✻

Oficjalna nazwa „Spółdzielnia Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Pokój" we Frampolu nie zawsze szła w parze z rodzajem produkcji. Wyrabiano tutaj wełniane szaliki, chustki, serwety, obrusy i samodziały. Z wyrobem tych ostatnich tkacze frampolscy — jak sami twierdzą — nie są tak obeznani jak ze sztuką tkania lnu.

Dzięki opiece CPLiA chałupnicy frampolscy znaleźli w spółdzielni lepsze zarobki, skończyły się ich zmartwienia o surowiec i zbyt, nie można jednak powiedzieć, że w tym czasie rozwinęło się tkactwo artystyczne Dlatego z uznaniem należy powitać fakt, że w planach pracy spółdzielni na bieżący rok znajdą się tkaniny wyłącznie lniane, a nad ich wykonaniem czuwać będzie specjalista, znawca tej gałęzi sztuki ludowej. We Frampolu żyje już niewielu uczniów Pawła Dudka. W interesie regionalnej sztuki ludowej powinni oni zaznajomić młodszych z kunsztem tkania wzorów, żeby mogli utrzymać i rozwinąć artystyczne tradycje osady.

Krystyna Pałys

Portrety spółdzielców

Fot. CAF

ANTONI KASPROWICZ

Ilustrowała Hanna Orzechowska

„JUTRO INNA ZBUDZI SIĘ ŁÓDŹ"

(Fragmenty poematu)

Wszystko to działo się w ponurych latach
Trzydziestym drugim i trzydziestym trzecim,
Kiedy bunt wzrastał wśród proletariatu,
I z głodu chore umierały dzieci.

✻

Łódzkie dzielnice, Szlezyng i Bałuty,
Rozległe Chojny i stłoczony Widzew,
Nędzą i głodem codziennym zatrute
Jednakie miały strychy i piwnice,

Jednakie ścieki śmierdzące i zlewy,
Jednakie troski i smutki. To znaczy -
Tym samym bólem dymiły i gniewem
Wyschnięte piersi szpinerów i tkaczy.

Tak samo Rzgowską, jak i Przędzalnianą
Kroczył policjant i przemykał szpicel.
I w starych chustkach za trumną drewnianą
Szły matki z płaczem przez brudne ulice.

Tak samo domki oblepione śniegiem
Na katafalku nadchodzącej nocy
Straszyły niebem, niby ciężkim wiekiem
Nakryte szczelnie na tlejące oczy.

Tak samo tutaj na dumnym Widzewie,
Jak na cuchnących Bałutach, tak samo
Prawie codziennie trzeba było przewieźć
Człowieka, który padł z głodu przed bramą.

Tak samo w nędzy kończył na suchoty
W zimnym poddaszu niemowa lub garbus.
I groźne hasła malował na płotach
Uczeń malarski ukradzioną farbą.

Tak samo domy trzeszczały zbutwiałe
I rosły borgi po lichwiarskich sklepach
I szarym brzaskiem dewotki skostniałe
Dreptały z dzwonkiem godzinki swe klepać.

Tak samo rankiem dymy nad dachami
Domków — gołębią chyliły się bielą
I cielska fabryk straszyły murami,
A każda z fabryk — groźną cytadelą.

Lecz w ogrodzonych wysokim parkanem,
W oszklonych, jasnych, strzelistych pałacach,
Inaczej mijał dzień „wielmożnym panom"
Scheiblerom, Kohnom, niż widzewskim tkaczom.

✻

O, nieraz w taką cichą noc z drewniaka
Krzyk, niby piorun wystrzelał w podwórko
I zrywał prządki, które na bosaka —
Pędziły z synem zaspanym lub z córką

Ratować kumę spod żylastych pięści
Męża, co z nędzy spił się denaturą,
Lub popłakiwać, co było najczęściej
Nad chudym trupem obciągniętym skórą.

O, nieraz w taką cichą noc, dźwięk dzwonka
Ciął sen, jak piła wypróchniałe drzewo
I długo w serca zakątkach się błąkał
I trwogą stawał, niepokojem zlewał,

Nim wreszcie lekkim stąpaniem po schodach
Dano znak nocnej niezwykłej obławy:
Tajniaki z „giliną" pod „widelcem" wiodą
Staśka, co przywiózł odezwy z Warszawy,

Więc nienawiścią iskrzyły się oczy
Starych snowaczy zaspanych i praczek.
I słychać było w majowej północy
Klątwy i groźby pomieszane z płaczem.

O, nieraz w taką letnią noc gorącą
Odór skwaśniały wypędzał z poddaszy
Tkaczy, co dzień swój, jak jodynę wrzącą
Spili haustami godzin pośród maszyn,

Siadali wtedy na schodach przed bramą
I niby lustra jaśniały im twarze,
Gdy stary działacz robotniczy — Ramus
O rewolucji zaczął i o carze...

Najpiękniej jednak działo się tu, kiedy
Pierwszomajowe zbliżało się święto,
A Czesny węglem rysował i kredą
Twarz Marksa mądrą, wzniośle uśmiechniętą,

Gdy robotnicy na majowy pochód
Szykując skrycie bojowy transparent,
Nosili w sercach, jak w beczułkach prochu
Gniew, który pieśni wybuchał pożarem,

Najstraszniej jednak dzień upływał wtedy,
Gdy krzyk rwał bruki napiętrzonych ulic,
Gdy w czerwień biły stalowe bagnety,
A jęk pozostał po świszczącej kuli.

Gdy przed fabryką Grohmana lub Kohna
Powoli tężał chudy trup szpinera,
I z wąskiej strugi krwi jasno-czerwonej
Gniew począł buntem bulgować i wzbierać

Kiedy, na nagle ogłoszony lokaut
Pozamykano składy i konsumy,
A bose dzieci po brudnych rynsztokach
Wysiadywały o głodzie przed domem...

Bywało różnie, jak to mówią, w kratkę;
Pogrzeby, śluby chrzciny i zabawy.
Czasem ktoś nocą rozrzucił ulotki,
Albo masówkę zgromadził nad stawem,

Ktoś wypisywał czerwienią na płotach
Precz ze Sanacją! Niech żyje Komuna!
Często zalany Wypych pognał „kota"
Policjantowi, gdy mu się nasunął.

Jednak ze wszystkich to się najrzetelnie
Popisał latem z Ozorkowskiej „Daniel",
Gdy na kominie Wenckiego cegielni
Czerwony sztandar zawiesił zuchwale.

Trzy dni furkotał, zanim go strażacy
Zdjęli z komina. Przez trzy dni radował
Serca strycharzy zmuszonych przy pracy
Stwardniałą glinę rąbać i formować.

A czas był ciężki. Jęczały przedmieścia
Od nędzy, chorób, od chłodu i głodu.
Paktował Lipski z Hitlerem, Bek jeździł
Ratować prestiż przy Lidze Narodów.

A czas był ciężki. Pfafendorski zegar
Nie co dzień dźwięczał starą blachą miedzi.
Co dzień natomiast — jak wzburzona rzeka
Bunt robotników pogłębiał się w biedzie.

A bieda wtedy straszliwa, wraz z nędzą
Na każdym progu robotniczym wyły.
I bezrobotny z miesiąca opędzał
Bety i ciuchy, by ratować siły.

Pęczniał dług w sklepach, wzrastało komorne,
Płakały dzieci za barszczem i chlebem.
Czarnymi końmi dni nędzy upiornej
Ciągnęły z domów „weberskie" pogrzeby.

Aż wreszcie nadszedł rok trzydziesty trzeci,
Rok buntu, rzezi, redukcji, mitingów.
Rok, który ogniem gniew tkaczy rozniecił
Od bram Widzewa do strychów Szlezyngu.

✻

Zawrzała „Wima", Pfafendorski Szlezyng
Gdy lon od metra obniżono nagle.
„Kohn" zastrajkował, z poparciem pośpieszył
„Grohmann" z Emilii i z Fabrycznej „Scheibler".

Poczęła wzrastać świadomość klasowa
I krzepnąć silnie braterska wspólnota.
Szedł „Lewar", „Prawda", bojowa „Odnowa"
Pienił się „Kurier" — oszczerstwami miotał.

Wrzała reakcja szpiclowską nagonką.
Areszty, wsypy, codziennym zjawiskiem.
W ten sposób Antka zabrano i Bronka,
Berka Lewina, Karasińską z Niskiej.

Aresztowano nawet delegatów
Związków klasowych. Sanacyjny żandarm
Przenikał wszędzie. Robotnicy na to
Nocą, czerwony wywiesili sztandar.

Jedynie Ramus, Łuczak i szewc Granek
Ukryci, ale gdzie? nikt nie odgadnie...
Razem z bibułą, podczas tych łapanek
Przepadli cicho, jak kamienie na dnie.

✻

Nagle gruchnęło z partyjnego „cynku"
Jutro masówka! Wytrwać towarzysze!
Jutro zbieramy się na Wodnym Rynku,
Przemawiać będzie Roszak! I afisze

Nocą ktoś począł rozklejać na płotach.
Wszyscy wiedzieli; prowadzi KPP.
Zaczęły krążyć ulotki. Robota
Ruszyła. Poczuł robotnik swą krzepę.

W zwiątpiałe serca wstąpiła nadzieja,
Nawoływano do strajku, do walki
A rankiem — każdy, spał, nie spał, jadł, nie jadł,
Śpieszył na „Wodniak" okolony parkiem.

Tutaj wśród tłumów widzieli niektórzy
Jak uśmiechnięty z bibułą przemykał
Ramus wąsaty i Granek Szmul — ryży
W łatanej bluzie, w podartych trzewikach.

Już na „Wodniaku" stutysięczne tłumy
Falują groźnie i sztandarów czerwień
Łopocąc, mięsza się z ludzkim poszumem,
A w bramach — konna policja w rezerwie.

Na Wodnym Rynku, na „Czerwonym Rynku",
„Niciarka", „Scheibler", „Widzewska" i „Weyer"
Murarze z Kozin i strycharze z Młynka.
Zamknięto sklepy, stanęły tramwaje.

A tłum napływa, pęcznieje i rośnie
I zbitą masą pokrywa bruk placu,
Faluje, cichnie i — wybucha groźnie:
„Wyklęty powstań ludu!", Chleba! Pracy!

Słowa pioruny padają z trybuny:
Do walki! Strajku! Po nowe zwycięstwo!
Niech żyje wspólny front i Łódź czerwona!
Precz z burżuazją, Berezle przekleństwo!

Ściśnięte pięści wystrzelają w górę,
I las sztandarów pochyla się nisko,
A głuchy pomruk, niby o klepisko
Bije w fasady domów, wstrząsa murem

I rażąc ciężkim klekotem stu gromów
Główną, Piotrkowską, Rokicińską, Wodną,
Leci nad miastem, ponad dachy domów
Pieśnią czerwoną, groźną i swobodną.

Wtem — nagły popłoch, krzyk, tumult. Od Głównej
Szarżuje konna policja z tętentem.
Pękł szpaler, łamie się szykiem nierównym,
Wpada do domów, lecz bramy zamknięte.

Więc się rozbiega po skwerze i parku,
Gdzie już policja zagrzana gorzałą
Grzmoci po plecach, po głowach i karkach
Kolbą okutą i gumową pałą.

Padają ranni. Cofa się tłum zbity
Przez Rokicińską w stronę Zyndermana
I nagle staje, groźny, jednolity
Jak mur, jak skała w ruchu zatrzymana.

I oto z hukiem, straszliwym łoskotem
Wali się tramwaj. Rośnie barykada,
Rwie się uliczny bruk, pękają płoty,
Trzaskają szyby, drżą sklepy w posadach.

I na policję padają już z okien,
Z rozbitych pieców — kafle i żelazo,
Wyłażą prządki na dachy wysokie
Skąd wrzątkiem leją i cegłami prażą.

Na próżno grzmocą ciężkimi kolbami
Do bram zawartych, z klątwą granatowi,
Gdzie tkacze razem z dziećmi i żonami
Zbrojni w siekiery czekają gotowi.

Wścieka się, pieni Komisarz Łęckowski
„Czas by zakończyć z tą głodną hołotą"
Tym bardziej, że już od strony Piotrkowskiej
Biegnie przodownik na pomoc z piechotą.

Lecz tłum rozbity znów atak formuje
Lecą kamienie, spadają sztachety.
(Tu akcją Ramus i Granek kieruje).
Wznoszą się pięści, prą naprzód kobiety,

Błądzą bezpańskie rumaki. „Ferajna"
Już paraduje w policyjnych kaskach.
Tłucze po mordzie Walerka „odczajna"
Kaprala, który ją szablą pogłaskał...

Wtem głośny wystrzał rozpruwa powietrze,
Echem się tłucze po ścianach oficyn.
I krzyk rozlega się groźny na piętrze:
Strzelają, prosto w piersi robotnicze!

Płacze tłum, jęczy, załamuje ręce
Leci na drżące wargi wieść pobladła.
Kula trafiła wprost w serce dziewczęce
W boju — Jadwiga Wojciechowska — padła!

Kto wpuścił oddział? Kto walczących zdradził?
Rosną pytania z przekleństwem na wargach.
Kto granatowych przez sień przeprowadził?
— To wróg klasowy, Bielska sklepikarka!

Teraz wre walka o trupa. Nie damy!
Tumult, krzyk, jęki. Grzmią końskie podkowy,
Błyskają szable. W ataku — za bramę
Wyparty został pluton granatowy.

I znowu atak. Lecz świeże oddziały
Zbrojnej policji, przez sklepy i bramę
Wtargnęły teraz w podwórze. Grzmią strzały
I — pustoszeje plac przed Zyndermanem.

Jeszcze ostatnie z dachów lecą cegły,
Pryska dymiący wrzątek prosto z okien.
Rąbią szablami sekcje, które wbiegły.
Otrzymał Ramus dwie rany głębokie.

Padł dźgnięty w nogę stalowym bagnetem
Granek pobladły. Zakuto w kajdany
Walerkę, która kluczem (nie kastetem)
Zadała ciosy dwom „tatom" pijanym.

Tłum wycofuje się z pozycji swoich
Porozbijany na nieliczne grupy
I wrzący — znika wolno z placu boju
Razem z dziewczęcym okrwawionym trupem.

Już się plac walki nierównej wyludnił
Opustoszało walczące podwórko.
Tylko zabitej krew stygnie przy studni
I jęczy ranny kapral pod komórką.

Zza odrapanej niskiej kamienicy,
Wyjrzał ogromny księżyc niby balia
I krwawym okiem spojrzał po ulicy,
Gdzie się już groźna skończyła batalia.

Jeszcze z oddali płynie wark motoru
I stukot podków człapiących patroli
I wreszcie cisza. Lecz tego wieczora
Ktoś płakał rzewnie, klął, jęczał powoli.

Ktoś bity w celi gryzł z bólu zębami
W ciężkim śrubstaku sprasowane palce.
I matka rwała włosy nad zwłokami
Dziecka. Noc przyszła. A Łódź trwała w walce!

Nie wszyscy jednak tej nocy marcowej
Spali. Pilnować musiano na zmianę

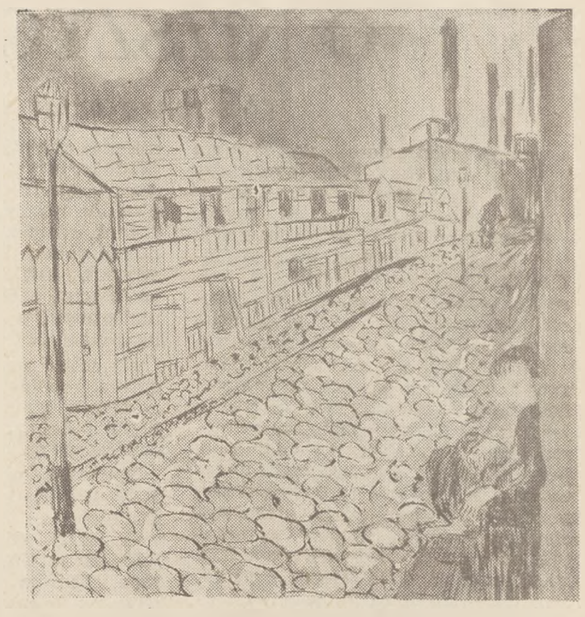

Ciała zabitej, które granatowi
Dwukrotnie chcieli już odbić nad ranem,

Nie wszyscy spali tej nocy marcowej,
Przecież na brudnej, szpitalnej pościeli
Jęczał Szmul Granek i Remus bojowy,
Badano mężną Walerkę na celi.

Przecież nie poddał się Widzew i Szlezyng
Kominy pieców fabrycznych nie dymią.
Krążą ulotki. Pracuje podziemie.
Wśród robotników i szarych żołnierzy.

Na rogach ulic bunt rośnie. Gniew w domach.
Padają słowa, jak ciężkie granaty,
A przerażony Kohn, Scheibler i Grohmann
Z delegatami zwołują narady.

Mimo, że głodem szantażują, przecież
Nikt się do pracy nie zgłasza, nie błaga.
Strajk trwa! Trwa walka! Buntują się „Wici",
Burzy się Lublin, Tomaszów i Praga.

A w kurnych chatach wsi powiatu Lesko
Na trumnach chłopów migocą gromnice,
Bo odważyły się gromadą wiejską
Z widłami ruszyć na sąd i policję.

Więc po rozkisłych błotem wiejskich drogach
Pędzą bezrolnych, gromadzą na rynku.
Do twierdz, do więzień. Bo rząd woli wroga
Zawsze na oku mieć — no — i pod ręką.

A czas szedł wolno, pobrzękiwał groźnie
Żelazem, które gromadził w rezerwie.
I widać było już, jak burza rośnie,
Jak w czarnych chmurach przebłyskuje czerwień.

Czas szedł i werble huczały biwaków,
Paradowały błyszczące eskadry,
A z płonącego nocami Reichstagu
Dym wiał na Lesków, na Paryż i Madryt.

✻

Już na Zakrzewskiej wzmocnione patrole
Schwytanych biją i ładują w auta.
Reszta przez wiejskie zagrody, na pole
Cofa się wolno przed zemstą, przed gwałtem —

I z buntem w piersiach, z nienawiścią w oczach
Grożąc, wchodzi w rozwarte ciemności,
By od bram miasta, gdy brzask się wytoczy
Bombą ognistą spaść na Plac Wolności!

✻

Wystyga walka i noc już wygasa,
Na wschodzie niebo przeciera się w brzaskach,
Na krańcach miasta skłębiona wrze masa,
Na rogach ulic — zbrojny patrol w kaskach

Głodny przebudził się Szlezyng i Widzew
Lecz zbuntowany i niepokonany.
Pędzą karetki. Nad tłumne ulice
Płacz się unosi, jak za karawanem.

Łączą się tkaczy kolumny rozbite
Znów tłum na groźną potęgę wyrasta.
Wyją pancerki, grzmią końskie kopyta,
Z Kresów ściągnięto policję do miasta.

Stają oddziały na bruku ulicznym
I karabiny ustawiają w kozły,
Baczność! I odlicz! Znów auta przywiozły

Świeże rezerwy o wieprzowych karkach,
O byczych mordach i niedźwiedzich barach...
Tłum prze, naciera, za mundury targa,
W stronę Piotrkowskiej przedostać się stara,

Jednak na próżno. Groźna broń nabita!
Setki bagnetów wymierzone w piersi —
Konna z szablami, za płotem ukryta,
Pancerka lufą kulomiotu grozi.

Wrze masa. Nagle, ponad szum uliczny,
Który przypada i cichnie na razie
Dziesiątki syren zagrało fabrycznych,
Zwycięstwo głosząc robotniczej klasie.

Niech żyje Partia! Tłum okrzyk podchwyca,
Trzęsą się mury, w izdebkach drżą szyby.
Cofa się zbrojna piechota z konnicą,
Zawraca oddział pancerny, co przybył.

Więc radość prządki ogarnia i tkaczy.
Szum, płacz i klątwa w pieśń wielką się rodzi.
To strajk wygrany i bitwa, to znaczy
Zwycięstwo Partii i Czerwonej Łodzi!

Lecz dalej walczyć będzie Łódź Czerwona,
Na twardym bruku i w fabrycznej sali,
Bo walka krwawa jeszcze nie skończona,
Walka narasta i w buncie trwa dalej!

To nic, że dzisiaj przypadła wygrana,
Że podpisano Umowę Zbiorową.
Broni nie złoży swej Łódź zbuntowana,
Bo walczyć będzie o Polskę Ludową!

ANTONI KASPROWICZ

GUSTAW MORCINEK

GÓRNICZA ARMIA

Pięknego i trafnego określenia użył Prezes Rady Ministrów, Bolesław BIERUT na naradzie aktywu górniczego w Katowicach w dniu 30 stycznia br., gdy przemawiając w sprawie wykonania planu w naszym górnictwie, powiedział, że górnictwo to w i e l k a a r m i a. Kilkusettysięczna brać górnicza stanowi bowiem olbrzymi zespół ludzi pracujących w tak bardzo odrębnych warunkach, jakie stwarza kopalnia, i tak bardzo wyróżniających się spośród innych grup robotniczych odrębną strukturą psychiczną i moralną, że zupełnie słusznie można go nazwać armią.

Praca górnika ma w sobie coś z walki zapaśnika. Gdy wszędzie indziej robotnik ma do pokonania tylko trud fizyczny, górnik obok wysiłku fizycznego musi pokonywać przeciwnika, którego określa się w języku fachowym jako „naruszenie równowagi ziemi". W sumie wytwarza to ową słuszną dumę, jaka cechuje każdego górnika.

Gdy górnik śpiewa, że

Nie ma jak górniczy stan.
Każdy górnik wielki pan!
Cesarz mu się kłania w pas,
Król mu schodzi z drogi w las,
A dziewczyna szczerzy zęby:
Pójdź, Zefliczku, dam ci gęby!...

to w tej prostej piosence wyraża się poczucie jego wartości. Tak! Górnik jest dumny ze swego zawodu i warto nieraz słuchać starych „kumpli" pod szybem lub w cechowni, opowiadających o kopalni i jej życiu młodym „fuksom". Homer by się nie powstydził takiej epopei, tym bardziej, że nawet język górnika, aczkolwiek obfitujący w słowa kanciaste i najeżone „pierunami", jest językiem homeryckim.

Dlatego też górnik śląski musiał mocno „zapierunować", gdy słyszał przemawiającego Towarzysza Bieruta na naradzie aktywu górniczego w Katowicach, lub gdy czytał nazajutrz w prasie jego przemowę. Tutaj honor górnika został mocno poruszony.

Rozmawiałem ze starym sztygarem z „Kleofasa", moim wypróbowanym przyjacielem, w kilka dni po tamtej naradzie.

— Namnożyło się przeróżnych mamlasów pieruńskich — sarkał mocno zgorszony — różnych gizdów, bumelantów i śmierdziróbótek i terozki robią wstyd, aże wstyd porządnemu górnikowi!

Pewnie, że wstyd! Nie wykonać planu, gdy na nim opiera się cała gospodarka Polski — klarował mi sztygar — to to samo, co w rodzinie, gdy się przytrafi jakiś niepodarzony syn. Wszyscy pracują, a tamten ślimok pieruński obija się i domowników okrada!...

Górnik ma w głębokiej pogardzie tych wszystkich, którzy są zakałą jego zawodu. Nie chodzi w tym wypadku tak bardzo o zmniejszony zarobek, jeżeli jeden i drugi bumelant „strzeli szychta", nie przyjdzie do pracy lub zaszyje się podczas pracy na dole w jakiś boczny chodnik, by przeleżeć szychtę na okorku. Jemu chodzi o wstyd, że w cenionym i szanowanym cechu górniczym o kilkusetletniej tradycji, znalazł się taki wyrodek. Nie mniej w głębokiej pogardzie miewa tych wszystkich — zwłaszcza dzisiaj — którzy nie umieją docenić wspólnego wysiłku w kopalni, niszczą materiał pomocniczy, drzewo, maszyny, mitrężą czas, nie umieją się podporządkować dyscyplinie pracy, usiłują być pasożytami. Słowa Towarzysza Bieruta były twarde, lecz słusznie. Każdy górnik, ten prawdziwy górnik, przyklaśnie im i powie, że to były słowa jakby z jego serca wyjęte, gdyż tyczyły się tych wszystkich „mamlasów", którzy albo jeszcze nie dorośli do stanu górniczego, albo dorastają niemrawie, albo też nie chcą dorość.

Codziennie wielka armia górnicza zjeżdża pod ziemię, druga wyjeżdża na powierzchnię. I codziennie ta armia wygrywa walkę. Wygrywa ją jednak tak długo, jak długo w jej szeregach nie ma maruderów i ciurów obozowych, wlokących się gdzieś na tyłach. Jeżeli w roku 1950 plan został wykonany z nadwyżką, bo w 102 proc., a w następnym roku obniżył się do 101,2 proc., było trzeba przypuszczać, że ilość maruderów i ciurów — którzy wszędzie są i wszędzie wloką się w ostatnich szeregach — wzrasta. Wykonanie planu w ubiegłym roku tylko w 98 proc. dowodzi, że „namnożyło się tech przeróżnych mamlasów pieruńskich — jak to określił mój przyjaciel sztygar z „Kleofasa" — różnych gizdów i bumelantów, i śmierdziróbotek, i terozki robią wstyd, aże wstyd porządnemu górnikowi".

Niezaprzeczenie, że za jedną z przyczyn niewykonania planu w roku ubiegłym należy uważać owo p r z e s t a w i a n i e s i ę g ó r n i k a pracującego dotychczas „piką" i ręcznym świdrem, na g ó r n i k a - m a s z y n i s t ę. Pamiętam, byłem jeszcze chłopcem, gdy do naszej kopalni sprowadzono pierwszą wrębówkę. Wszyscy patrzyli na nią nieufnie, spode łba, pogardliwie. Nazywali ją „pieruńskim koziołem". A gdy w końcu, po odejściu instruktorów, wypadło nią pracować, nie było ochotników wśród starszych górników. Młodzi się zgłosili i ci młodzi przekonali z czasem wszystkich niewiernych Tomaszów, że warto się z nią oswoić i warto ją cenić. Ów proces jednak trwał dosyć długo i trwa do dzisiaj. Nie wynika jednak stąd, że stosunek starszego pokolenia górniczego do mechanizacji pracy w kopalni jest negatywny. Jest tylko nieufny, niedowierzający, wyczekujący. Gdy się w końcu jeden z drugim przekonają, że maszyna w kopalni wyręcza ich w fizycznym wysiłku, stają się jej wielbicielami.

Ów proces przestawiania się górnika — „rękodzielnika" na górnika-maszynistę jest normalny, lecz nieistotny i kiedyś się skończy. Chodzi o to, by go przyśpieszyć. To już zależy od kadry dowódczej w kopalni, o której mówił Towarzysz Bierut, i od miejscowych czynników partyjnych, od ich taktu, wiedzy fachowej, troski o człowieka i maszynę, postawy politycznej i autorytetu.

Groźniejszym zjawiskiem jest bumelanctwo i ów ponury spadek z czasów kapitalistycznych, brak poczucia spólnoty mojej pracy z warsztatem pracy. Dawniej kopalnia była „pańską" kopalnią, stosunek uczuciowy górnika był do niej, jeżeli nie obojętny, to raczej negatywny. W ciągu jednej doby nastąpił przewrót, kopalnia stała się własnością społeczną, lecz pozostały stare nawyki myślowe i uczuciowe, które z trudem trzeba wykorzeniać. Owym nawykom hołdują owi maruderzy i ciury obozowe.

Bardzo prosto tłumaczył mi to wszystko w bramie kopalni mój przyjaciel, stary sztygar z „Kleofasa".

— A jak myślicie? Jak się to wszystko skończy? — zapytałem.

Sztygar pomyślał, splunął — gdyż żuł tytoń — i powiedział twardo:

— Dobrze się stało, że Towarzysz Bierut użył takich mocnych słów. One więcej znaczą, aniżeli ustawiczne narzekanie, przekonywanie i cackanie się z takimi gizdami. O, jakby ktoś mocną pięścią w stół wyrznął! To nam się podoba!... I to poskutkuje! I zobaczycie, że ci wszyscy, którzy dotychczas tego nie umieli, czy nie chcieli rozumieć, iż stanowi górniczemu nie wolno przynosić ujmy i wstydu, teraz nareszcie zrozumieli. I oto ręka moja — dodał, podając mi swoją chropowatą dłoń — że choćby wszyscy pieruni, ale plan tegoroczny będzie wykonany z nadwyżką!...

Gustaw Morcinek

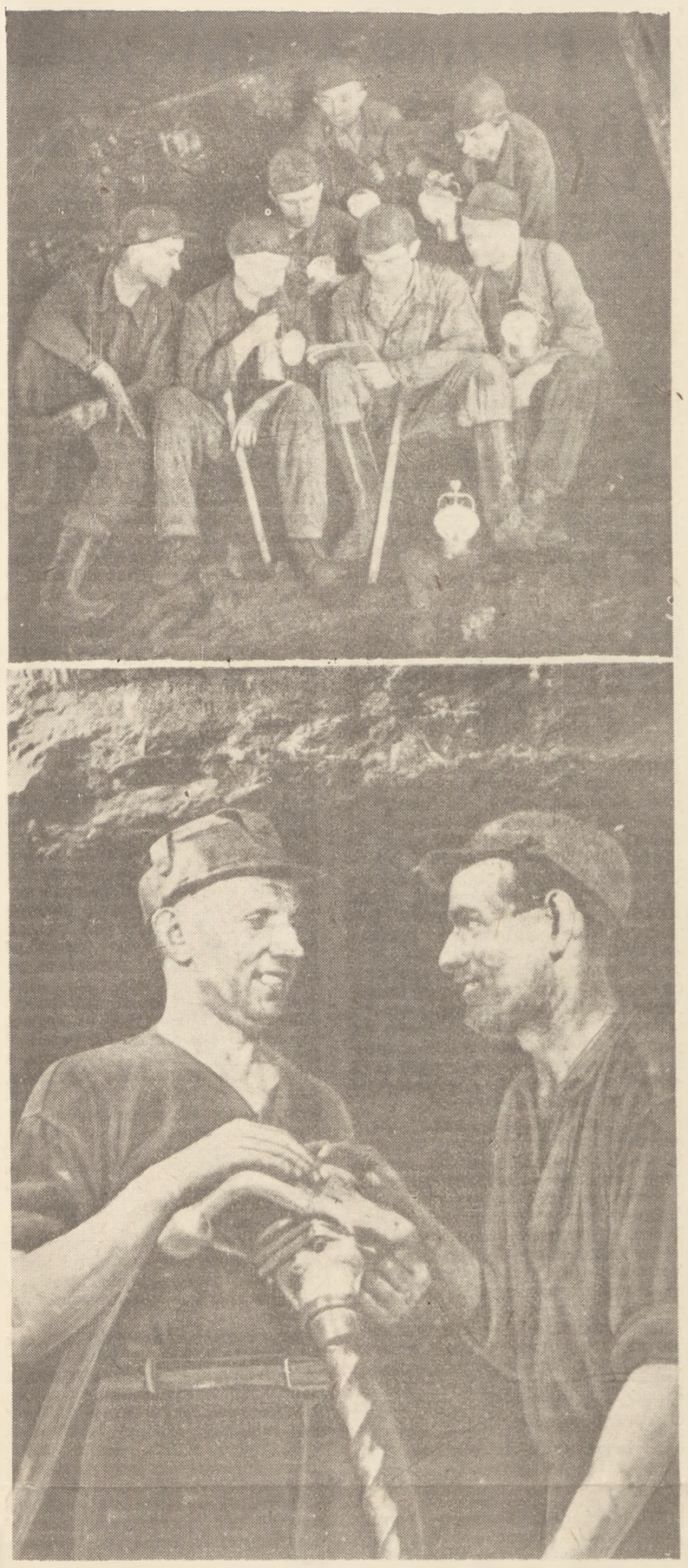

LESZEK MECH

W KOPALNI „EMINENCJA"

Na kopalni huczało jak w ulu. Górnicy starzy i młodzi kłócili się pojedynczo lub grupkami, niejedni zawzięcie gestykulowali, inni stali zachmurzeni i czujni.

— Powiedzcie sami, Ludwiku. Gdzie tu nasza korzyść?... Chleb podrożał i kosztuje 3 złote za kilogram, a zarobek godzinny podwyższył o kilkadziesiąt groszy. I to ma być proporcjonalnie?

Górnik, który tak mówił, stał obok mnie. Głos miał chrapliwy, urywany, potrząsał gazetą.

— Jak on się nazywa — zapytałem sąsiada. Mruknął coś pod nosem; było to albo nazwisko, albo przekleństwo, albo jedno i drugie. Spojrzałem dokoła, wszędzie tłum twarzy o roziskrzonych oczach i zaciśniętych ustach. Wszyscy czekali co powie Ludwik. Ten sięgnął do kieszeni i wyjął mały zatłuszczony notesik. Ołówka nie mógł znaleźć.

— Nie ma kto z was kawałka ołówka?

Podano mu zaraz. Ludwik otworzył zeszycik i zaczął obliczać. Górnicy czekali w milczeniu, tylko ktoś za mną mówił do kolegi.

— Kazik, jedno ci powiem. Jeżeli uchwałę podpisał nasz Bierut, to musi być dobra.

Obejrzałem się. Młody chłopak, może nawet z zaciągu pionierskiego, uśmiechnął się do mnie. Ale Ludwik skończył już swoje obliczenia i podniósł głowę. Oczy poweselały, stały się jeszcze bardziej błękitne. Mówił wolno i każde słowo mocno akcentował.

— Obliczałem towarzysze, ile dostanę dodatku i czy wystarczy na wyrównanie podwyżki cen. Wychodzi czterysta złotych. Dotychczas zarabiałem około tysiączka, a teraz przy takiej samej pracy otrzymam około 1400 złotych, a może i więcej. To samo dotyczy każdego z was.

Kilku górników wyciągnęło notesy i ołówki. Liczyli uważnie i szybko. Koledzy zaglądali niecierpliwie każdemu z nich przez ramię.

— Zgadza się.

✠

Ładowacz Ludwik Ślusarz obserwuje uważnie wręboładowarkę, której stalowe ostrze ze świstem tnie calizną pokładu.

— Jeszcze metr wrębu i norma zostanie przekroczona. Ho, ho... Nie tylko norma, ale i zobowiązanie. Nasze zobowiązanie.

Uśmiechnąłem się, bo Marian Bryła, rębacz przodowy na chodniku też się uśmiechał. Rozumieli się znakomicie bez słów.

Puszczona w ruch wiertarka zahuczała jak trzmiel w wąskim chodniku. Minuty płyną prędko, nawet za prędko. Otwory już gotowe, teraz założenie ładunków i odstrzał... Runęła czarna ściana. Huk jak piłka potoczył się korytarzem, silny podmuch uderzył nas w twarz. Zadzwoniły pod bryłami węgla rynny potrząsalne. A węgla na nich coraz więcej, coraz więcej... Rośnie wydobycie w kopalni „Eminencja". Rośną zarobki górników.

✠

Przez kasami w kopalni panował ruch i gwar. Ci, którzy otrzymali już swoje zarobki musieli odpowiadać na liczne pytania. Twarze uśmiechnięte mówiły wyraźnie, komu uchwała przyniosła korzyść.

Z kolei Ludwik Ślusarz i Józef Bryła pochylili się do okienka. Kasjerka sprawnie odliczyła pieniądze. Ledwie znaleźli się obok, już pytał jeden drugiego.

— Ile?

— 397 złotych.

— Ja tyle samo. Hurra!

Poduli sobie ręce uroczyście.

W styczniu każdy z nich zarobił 2.034 złotych.

✠

W kilka dni po uchwale Rządu w biurze referenta współzawodnictwa przy kopalni „Eminencja" spotkało się wielu górników. Rębacze, ładowacze, filarowcy, chodnikowcy...

Kazimierz Kasztalski, filarowiec z oddziału I, podszedł do referenta i wyrąbał prosto z mostu:

— Czy wiecie, towarzyszu, dlaczego moc produkcyjna urządzeń górniczych nie jest wykorzystywana w całej pełni?...

Referent milczał, zaskoczony pytaniem. Wtedy Kasztalski sam odpowiedział:

— Dlatego, towarzyszu, że górnicy nie znają dokładnie planu. Tak, towarzyszu, to fakt. Niewesoły fakt. Należy go jak najprędzej usunąć.

W kilka dni później znów rojno u referenta. I znów Kasztalski podchodzi do biurka.

— Znów się wam coś nie podoba?...

— Nie. Obecnie każdy górnik zna już plan, został on doprowadzony do przodków i z tego powodu można teraz osiągać znacznie większą normę. Moja brygada zobowiązuje się dać codziennie na filarze 3 tony węgla ponad plan. Czy jest tu tow. Dziędzielewski?

— Nie. nie ma, fedruje.

— Towarzyszu — Kasztalski zwrócił się do referenta — proszę donieść, że wzywamy jego brygadę do współzawodnictwa.

Dziędzielewski, zetempowiec, gdy doniesiono mu o wezwaniu, przyjął je bez namysłu. Jego brygada postanowiła dać codziennie 6 ton węgla ponad plan.

Kasztalski, kiedy mu o tym doniesiono, powiedział kilka słów, ale treść ich była bogatsza od niejednego przemówienia.

Na wyniki długo nie trzeba było czekać. Za ich przykładem poszli inni górnicy. Kopalnia „Eminencja" wysunęła się na czoło kopalń śląskich w pierwszych dwóch dekadach stycznia, wykonując 119,5 procent planu.

Leszek Mech

JULIAN STAWIŃSKI

Imperjalizm na tronie watykańskim (II)

W TYCH GAŁĘZIACH GNIEŻDZI SIĘ WIELE PTAKÓW...

Rzymsko - katolicki stan posiadania w USA jest nie tylko, a raczej nie tyle owocem atrakcyjności, czy dynamicznej akcji kościoła, co gorliwego patronatu wielkiej finansjery. A jest to patron wprawdzie szczodrobliwy, ale i równie bezwzględny, równie wymagający co feudalni kolatorowie i fundatorzy, rozdawcy prebend, beneficjów, darowizn, zapisów. Toteż rzucając hojnie milionami i forytując penetrację katolicyzmu w społeczeństwo Stanów Zjednoczonych wielkie monopole warują sobie zarazem przywileje, o jakich nie śnił nawet Filip Piękny i Ludwik XIV. Watykan otrzymuje inwestyturę banków nowojorskich na „rząd dusz", ale większość udziałów w tym rządzie i głos decydujący w aparacie administracyjnym skupia w swym ręku kapitalistyczny suweren.

Już w połowie ubiegłego wieku o. Issaac Thomas Hecker, twórca zakonu ks. misjonarzy od św. Pawła głosił konieczność amerykanizacji kościoła. Potępiła go za to kuria rzymska. W owym czasie Watykan trzymał każdą narodowość w osobnym getcie kościelnym widząc w tym utwierdzenie swej władzy. Ale hierarchia wyższa znalazła się niebawem w ręku grup finansowo silniejszych. I okazało się wkrótce, że ten typ przewagi wytwarza niebezpieczny brak jednolitości. Zaognia sprzeczności wewnętrzne i w rezultacie grozi rozbiciem zwartego organizmu na mnóstwo podrzędnych, słabych i skłóconych ze sobą frakcji. Jeszcze nie dalej jak w 1929 w takim Chicago na 253 parafie było 38 polskich, 35 niemieckich, 12 włoskich, 10 słowackich, 9 litewskich, 8 czeskich, 5 francuskich, 4 chorwackie itd. Dziś wskutek ujednolicenia należy to do przeszłości. Krąg został domknięty, amerykanizacja jest faktem zupełnym i nieodwołalnym.

Proces ten, proces kanonizacji amerykańskich form życia oraz ich wtargnięcia do władz centralnych Watykanu przybrał wieloraką, a wszechstronną postać. Na jednym biegunie występuje Bill Durbin z Rivreldale, „Kowboj-ewengelista i Śpiewak Radiowy", jak go określa miejscowa reklama; na drugim mnożą się nominacje kandydatów Spellmana — generalnego prokurenta Wall Street — na stanowiska naczelne: generałów zakonów (John Mix — Zmartwychwstańców, Mary Vera — sióstr Notre Dame, William Slattery — Zgromadzenia św. Vincentego à Paulo), członków kolegium kardynalskiego etc. W USA wyższy kler jest w całości amerykański, a nazwiska Woźnicki, Atkielski, czy Klonowski tworzą tylko floresy wielojęzycznego szyldu. Polskości równie mało w nich co w nazwisku Adamsky. Natomiast tyleż faszyzmu.

Kler niższy, wzięty w potrójny ogień episkopatu, władz stanowych i federalnych oraz machin partyjnych, zdany jest na ich łaskę i niełaskę. W strukturze organizacji rzymsko-katolickiej nie istnieje wolność przekonań: w myśl kanonu 1386, duchowny nie ma prawa zabrania głosu publicznie bez zezwolenia swego ordynariusza. Glajchszaltowanie szybko postępuje naprzód, a wraz z tym budowa głównej ideologicznej reduty imperializmu i kontrrewolucji.

✠

Zrywając wszelkie związki z wolnością i demokracją, a nie mogąc się jeszcze wyzbyć ich, jako parawanu, kapitalizm za wszelką cenę szukał form zakłamania, aby przyodziać swą nazbyt już szpetną nagość. Wtedy to na skinienie Jego Świętobliwości odziano ją w cały przepych szat liturgicznych. Każdy akt dolara był odtąd aktem łaski, nowa emisja akcji — akcją katolicką, a skropione papieskim hyzopem rękawice oprawców czy politycznych włamywaczy stawały się bielsze ponad śnieg.

Na skrzyżowaniu 29 Ulicy i Madison Avenue stoi zaciszny pałacyk z białego marmuru, własność John Pierpont Morgana. Siedlisko cnót patriarchalnych i obyczajów równie surowych, jak te, którymi słynie „ramię duchowne" kapitalizmu. Siedlisko cnót i miejsce gorliwych pielgrzymek, odkąd oba ramiona, bracchium seculare i bracchum spirytuale działają sprawnie i zgranie w myśl impulsów kapitalistycznej głowy. W tym względzie powstała już nawet długa tradycja i doświadczenie. Wiemy bowiem, że teorię „organiczną" społeczeństw wykoncypował na użytek wiernych sam Leon XIII.

Ramiona działają sprawnie, bez wahań i sprzeciwów jak przystoi posłusznym członkom. Komiwojażer Morgana, od Eisenhowera po ulicznego sprzedawcę krawatów, z równą obojętnością handluje dziecinnym pistoletem we własnym miasteczku jak uśmierca dzieci na Korei, czy Malajach. O wyborze „obiektu tranzakcji" decyduje bez reszty wysokość dywidendy. Podobnie Watykan. Nie produkuje wprawdzie własnych bomb atomowych, ale tym gorliwiej błogosławi cudze. W pracowniach kongregacji i na tajnych konsystorzach kardynalskich wytwarza zresztą swe niezrównane narzędzia zimnej wojny — wybuchowe „środki duchowne". Pakowane w naczyniach dziwnego prawdziwie nabożeństwa, opatrzone marką fabryczną i stemplem „made in Vatican city" strzelają fajerwerkiem encyklik i listów pasterskich, ekskomunik, orędzi i pouczeń, przenikają bakcylem szpiegostwa i zdrady, lądują wśród dowodów rzeczowych w procesie krakowskim.

✠

Z innym nieco bagażem lądował w Nowym Jorku kardynał Pacelli. Było to jesienią 1936. Purpurat wiózł z sobą projekt gigantycznej transakcji. Za poparcie dla Franco ofiarował cały kontynent. Interes został szybko ubity: Roosevelt ogłosił „neutralność" USA, pierścień dławiący Republikę Hiszpańską został zamknięty, Watykan objął duchową reprezentację dolara na obszar Ameryki Łacińskiej.

Reprezentował tam już poprzednio najwyższy stopień ciemnoty na ziemi. Analfabetyzm trzech czwartych ludności, stopa życiowa niższa niż w XVI wieku, a narzędzia uprawy roli te same co przed 400 laty; szamaństwo jako codzienność form religijnych i obyczaje Borgiów w metodach rządzenia — oto dorobek działalności misyjnej wszechpotężnego na tych obszarach Watykanu. Jedynym darem, jaki przyniosła biała cywilizacja nieszczęsnym swym katechumenom było koło, nieznane Aztekom i Inkom. Lecz było to naprawdę i bez przenośni koło udręki. Watykan zwalczał oświatę, uprzemysłowienie, wszelką myśl o poprawie poziomu życia ludności. Przyczyny wskazał pleban z małej mieściny na drugiej półkuli: „dziekanat myślenicki jest rolniczy i dlatego nie narażony na wstrząsy i pokusy".

W latach dwudziestych uchwalono w Meksyku reformę rolną i nacjonalizację nafty. Był to dotkliwy cios dla Rockefellera, a cios podwójny dla hierarchii kościelnej: dobra martwej ręki tworzyły państwo w państwie, udziały naftowe również były poważne. Powstał wspólny front. Ekskomunikowano chłopów za przyjmowanie ziemi, rzucono interdykt na kopalnie państwowe; wytężona agitacja z kazalnic doprowadziła w końcu do krwawej kontrrewolucji, sowicie finansowanej także przez Standart Oil. W tym klimacie, „natchniony" przez matkę przeoryszę klasztoru Spiritu Santu, niejaki Leon Toral zamordował „liberalizującego" prezydenta Obregona. Następca Obregona ugiął się wobec terroru.

Przykład Meksyku jest o tyle jaskrawy, że jest to kraj najbardziej wyzwolony spod wszechwładzy kleru. Gdzieindziej infuła, wsparta przez dolara, panuje bezapelacyjnie.

Pakt Roosevelt — Pacelli był pozornie zwycięstwem dyplomacji papieskiej. Mimo gromów miotanych w faszyzm, Biały Dom wydał na jego żer półwysep Iberyjski i zgodził się, by książęta kościoła w dalszym ciągu szerzyli na półkuli zachodniej wiarę w Hitlera. Rzecz jednak w tym, że urzędowe pioruny waszyngtońskie były z gatunku zimnych ogni. Wielkie monopole USA gorąco pragnęły wzięcia Francji w podwójny czy potrójny obstrzał, pragnęły nacisku na Gibraltar i krwawej rozprawy fuehrera z demokracjami Zachodu.

✠

Po ustaleniu współrządu obu Ameryk przyszła kolej na resztę świata. Uwagę baczniejszych obserwatorów oddawna już zwracała niezwykle wielka ilość szkół misyjnych czynnych na terenie USA. Rąbka tajemnicy odsłoniła sprawa zatargu misjonarskiego w Ugandzie. Akcja prowadzona przez placówki szeregu wyznań powodowała częste konflikty i niepokoje pomiędzy ludnością. Toteż angielska administracja kolonii zwróciła się do wszystkich stacji misyjnych o dokonanie podziału nawracanych obszarów. Zgodzili się wszyscy — z wyjątkiem katolików. Doniosłym motywem były tu niewątpliwie ekskluzywizm i nietolerancyjność prozelityzmu rzymskiego. Ale był motyw głębszy. Bieg zdarzeń wykazał niebawem — z okazji działań wojennych — ścisłe powiązanie katolickiej akcji misyjnej z wywiadem Stanów Zjednoczonych. Tak było na Oceanie Spokojnym, na całym Dalekim Wschodzie, tak było zwłaszcza w Chinach. Ksiądz Lelito miał licznych kolegów,

✠

Gdy błogosławiony przez wszystkich arcykapłanów Zachodu hitleryzm wyruszył na pochód ku gruzom Berlina, gdy krew obrońców ludzkości uświęcała okopy Stalingradu, a z pomroki dziejów wyłaniał się cień szubienic norymberskich, w dalekiej Japonii faszyzm gotował się również do skoku. Rolę Chorągwi Proroka, relikwii i fuehrera zarazem, odgrywał tam mikado, syn Słońca, bóstwo opiekuńcze kraju. Konsolidując pozycje faszyzmu rząd zadekretował, aby każdy bez wyjątku Japończyk w oznaczonych miejscach i dniach składał hołd cesarzowi - bogu. Wśród stu dwudziestu tysięcy katolików japońskich zapanowało wzburzenie, kuria rzymska założyła protest. W odpowiedzi nadeszła oferta sojuszu. Oferta tak ponętna, że rozpłynęły się wspomnienia ofiar Nerona, papizm „wchłonął pierwiastek boskości mikada", a japońscy katolicy zostali pouczeni, że taka właśnie forma ofiary z ich strony „milsza będzie Bogu", niż sięganie po wzory do czasów pierwszych chrześcijan, kiedy to „nauka była drobnym nasionkiem, nie zaś owym wspaniałym drzewem dzisiejszym, w którego gałęziach gnieżdżą się **liczne ptaki...**"

Ptasia idylla miała swój ciąg dalszy: w marcu 1942 r. w Watykanie zjawił się okaz wielce egzotyczny — ambasador boskiego Hirohito. Zastrzeżenia Roosevelta uchylono stwierdzeniem, że „Kościół Katolicki musi na pierwszym miejscu stawiać swe interesy duchowe". Charakter tych interesów oświetlił wymownie incydent timorski. W październiku 1943 r. Japończycy zajęli kolonię portugalską Timor. Między Lizboną a Tokio zawisła groźba wojny, alianci anglosascy czynili przygotowania do obsadzenia baz morskich w posiadłościach i portach Portugalii. Watykan jednak czuwał. Dzięki osobistej interwencji Ojca Świętego u Salazara zdołano odwrócić „nieszczęście". Portugalia zachowała neutralność; tytułem kompromisu wydzierżawiła Stanom Zjednoczonym wyspy Azorskie. Zadowolone ptaszki świergoliły wesoło wśród mądrych, eklezjastycznych gałęzi dziobiąc dolary, jeny i małe portugalskie eskudy...

✠

Na papieskim Olimpie gospodarzą bóstwa Walhalli i stare mity Azji, Hitler dostąpił pośmiertnej apoteozy, a w loży honorowej zasiada Myron, Taylor, Allen Dulles i były adiutant Himmlera.

Quo vadis? „Jadę ku księżycowi..." O, nie! Minęły czasy romantyzmu. Sedes Apostolica jedzie ku atomowej bombie, jedzie ku wojnie, jedzie ku faszyzmowi. Wpływów swoich i absolutnej władzy nad niższym klerem używa dla hamowania rozwoju narodów i kolonii i krajów zależnych, dla torowania drogi i umacniania ekspansji imperializmu Stanów Zjednoczonych. Przy budowie kolonialnego imperium USA zespół purpuratów rzymskich tworzy jedną z najbardziej aktywnych brygad.

Julian Stawiński

Maurice Thorez w latach chłopięcych

RYSZARD KORN

WYRZUTNIE I EISENHOWER

Karnawał 1950 r. nie różniłby się niczym od poprzednich, gdyby nie to, że amerykańskie jednostki okupacyjne postanowiły wprowadzić do jego programu fajerwerki nowego, niezwykłego typu. Obawiając się zdecydowanej postawy dokerów i robotników wielkich portów Francji, którzy wielokrotnie potrafili udowodnić czynem swą wrogość wobec wojennych poczynań imperialistów, naczelne dowództwo „paktu atlantyckiego" postanowiło wyładować w małym, zapuszczonym i przestarzałym porcie nicejskim, wyrzutnię rakiet V 2 i partię pocisków, spodziewając się tym manewrem zmylić czujność klasy robotniczej. Ale okazało się rychło, że robotnicy nicejskiego portu nie są zwolennikami fajerwerkowych innowacji, oraz, że ich czujność i wola obrony pokoju jest równie silna jak ta, którą okazali ich towarzysze w innych portach Francji. Wieść o wyładowaniu na molo pierwszych skrzyń z częściami wyrzutni rozeszła się lotem błyskawicy po robotniczym starym mieście. Zatrzymały się maszyny fabryk, stanęły tramwaje i trolleybusy. Rozpoczął się strajk protestacyjny. Setki robotników zaczęły napływać do portu, zapełniać molo. Zgromadzone dla ochrony cennego ładunku siły policji zmuszone były pod przemożnym naporem mas wycofać się. Wystarczyło kilka minut, aby śmiercionośne skrzynie, zepchnięte przez dziesiątki robotniczych ramion, zsunęły się z mola na dno portowego basenu. W ciągu następnej godziny wszystko powróciło do normalnego stanu. Zaturkotały znowu fabryczne maszyny, ruszyły tramwaje i trolleybusy, a wieczorem wytrysnęły w niebo ognie sztuczne, te prawdziwe, symbol pokojowej radości. Czujność i zdecydowana akcja nicejskiego ludu sprawiły, że wyrzutnia V 2 została na zawsze unieszkodliwiona, a statek wiozący resztę złowrogiego transportu chyłkiem wyszedł z portu.

*

Jesień paryska okrywa całe miasto złotem. Promienie zachodzącego słońca padające na żółknące liście stuletnich kasztanów napełniają ulice purpurowym blaskiem. W jeden z takich pogodnych jesiennych dni 1950 r. o godzinie szóstej po południu Pola Elizejskie, serce eleganckiego Paryża zaległy jak zwykle tłumy wytwornych przechodniów.

Nagle dzieje się coś niezwykłego. Wyjście metra, boczne ulice wyrzucają na Pola Elizejskie grupy ludzi, od których obecności odwykła ta wytworna arteria. Robotnicze kurtki, spod których wyzierają niebieskie kombinezony, wyszarzałe płaszcze zaczynają przeważać nagle w wytwornym dotąd tłumie. Padają pierwsze okrzyki: „Eisenhower go home", „Chcemy Pokoju", „Precz z podżegaczami wojennymi". Wydobyte z zanadrza robotniczej bluzy rozpościerają się pierwsze transparenty. To lud Paryża godnie przyjmuje nieproszonego gościa, który zjechał do Paryża, aby objąć dowództwo nad „zjednoczonymi" siłami atlantyckich agresorów. Manifestując pod oknami hotelu „Astoria", który generał obrał za swą tymczasową siedzibę, masy robotnicze Paryża dają wyraz prawdziwym uczuciom ludu Francji, pogromcy tyranów, burzyciela Bastylii. Nie powiodły się próby policji, zmierzające do rozproszenia manifestantów. Na jej zwarte szeregi spadł grad brukowych kamieni, kawiarnianych krzeseł i stołów. Pękła policyjna zapora. Już pierwszego dnia swego pobytu w Paryżu miał możność naocznego zbadania uczuć, jakie naród francuski żywi dla niego i kół, które reprezentuje.

*

Stolica i prowincja — dwa epizody, dwa małe wycinki wielkiej wspaniałej walki. Jeden po drugim półfaszystowskie rządy burżuazji francuskiej montują spisek przeciw wolności własnego narodu „Le grand complot". I upadają jeden po drugim, nie mogąc sprostać zadaniu. Uginają się pod ciężarem: złoto waszyngtońskie jeszcze bardziej tylko przytłacza wątłe lokajskie ramiona.

A klasa robotnicza Francji wznosi coraz wyżej sztandar swobód demokratycznych swego kraju. Sztandar, na który pada już odblask J u t r a.

Ryszard Korn

STANISŁAW SIEKIERSKI

Pierwsze starcie — pierwsze zwycięstwo

W maju 1952 roku wybitny pisarz francuski, naczelny redaktor „Humanitè", laureat Nagrody Stalinowskiej, André Stil, został aresztowany na rozkaz reakcyjnego rządu francuskiego, pozostającego na usługach amerykańskiego imperializmu. Każdy z nas pamięta ogromne oburzenie, jakie wywołał ten fakt w opinii całej postępowej ludzkości. Trzeba było zdecydowanej postawy prawie wszystkich narodów świata, trzeba było zorganizowanej akcji protestacyjnej, aby André Stil został uwolniony, aby mógł wrócić do swej pracy, do swej działalności.

Czym zasłużył sobie autor „Pierwszego starcia" na taką popularność wśród najszerszych mas ludzi na całym świecie i jednocześnie na taką nienawiść amerykańskich imperialistów i ich służalców?

Stil jeszcze przed wojną wstąpił do Komunistycznej Partii Francji; podczas okupacji walczył w szeregach bohaterskiego Ruchu Oporu. Po wojnie poświęcił się pracy politycznej, publicystycznej i literackiej; jest członkiem Biura Politycznego KPF, naczelnym redaktorem centralnego pisma Partii. Dwie pierwsze książki Stila znane są w polskich tłumaczeniach; są to: *„Wola i gniew"* — z życia francuskich górników oraz *„Sekwana spływa na morze"* — *„książka opowiadań w obronie pokoju"*, jak ją nazwał sam autor. W ciągu ostatniego okresu Stil pracuje nad trylogią, której pierwszą część, wyróżnioną Nagrodą Stalinowską, pt. *„Pierwsze starcie"*)* otrzymaliśmy właśnie w polskim przekładzie. (Druga część pt. *„Wystrzał armatni"* została już opublikowana w jęz. francuskim; część trzecia będzie nosiła tytuł *„Paryż z nami"*). „Powodów" było więc aż nadto dla francuskich „działaczy kulturalnych" i ich mocodawców, aby Andrè Stila uznać za człowieka „niebezpiecznego" i pozbawić go wolności.

Stil jest wrogiem reakcji francuskiej i międzynarodowej, wrogiem nosicieli faszyzmu i zdrady narodowej, wrogiem amerykańskich okupantów. Wrogość ta wypływa z głębokiego humanitaryzmu proletariackiego, z żarliwego umiłowania narodu francuskiego i jego przodującej siły — klasy robotniczej. Walka w obronie suwerenności narodowej i walka o wyzwolenie francuskiej klasy robotniczej — oto naczelne sprawy życia Andrè Stila, z których zrodziła się jego wspaniała powieść „Pierwsze starcie", jedno z najwybitniejszych osiągnięć współczesnej literatury postępowej.

Pierwsze rozdziały powieści Stila wywierają na czytelniku wprost przygnębiające wrażenie. Jesteśmy świadkami nędznej wegetacji całych rodzin w cuchnących, ciemnych i zimnych barakach; *„pośród złej nocy"* słyszymy skargi matek, bezradnych wobec głodu i zimna. Obserwujemy przybrane dziecko, uciekające od rodziców w obawie, że za kilka dni staną wszyscy przed perspektywą całodziennej głodówki; przeżywamy serdeczną mękę i wstyd ojca, który *„nie może zarobić na jedzenie dla swego dziecka"*. Komuniści — bohaterowie powieści Stila doskonale sobie zdają sprawę z celów tej taktyki reakcji amerykańsko-francuskiej. *„Nędza* — mówi jeden z nich — *nędza to jest chloroform do uśpienia pacjenta przed operacją"; „Ale ta nędza* — formułuje inny — *nie spadła przecież z nieba, nędzę Amerykanie wysłali na zwiady jako przednią straż"*. Polityka nowych okupantów zmierza do złamania oporu dokerów, zmuszenia ich do podjęcia w dniach klęski głodowej każdej pracy, nawet wyładunku broni amerykańskiej. Stil zarysował niezwykle sugestywny obraz przenikania tej amerykańskiej *„przedniej straży"* do portowego miasteczka La Pallice. Ten obraz nędzy, bezrobocia, ostatecznego wymęczenia od głodu i bezczynności, wstrząsa czytelnikiem w pierwszych rozdziałach do tego stopnia, że sugeruje wprost beznadziejność sytuacji. Lecz dalsze rozdziały wrażenie to całkowicie likwidują; książkę odkładamy z głębokim przekonaniem, że siła narodu francuskiego i jego Partii jest niezwyciężona, że wszystkie niepowodzenia i klęski, które przeżywają francuscy dokerzy i ich rodziny pod okupacją amerykańską, nie tylko nie załamują ich solidarności i patriotyczno-rewolucyjnego protestu, ale wprost przeciwnie — hartują do walki o suwerenność narodową, o wyzwolenie klasy robotniczej. Po przeczytaniu powieści Stila przychodzą na myśl słowa Malenkowa wygłoszone na XIX Zjeździe KPZR, w pełni pokrywające się z wnioskami, jakie wyciąga czytelnik z „Pierwszego starcia": *„Należy przypuszczać, że w krajach skazywanych na rolę powolnych pionków dyktatorów amerykańskich, znajdą się prawdziwie pokojowe, demokratyczne siły, które będą prowadzić własną, samodzielną, pokojową politykę i znajdą wyjście z tego ślepego zaułka, w który wpędzili je dyktatorzy amerykańscy."*

Aby zrozumieć prawdę historyczną zawartą w książce Stila, aby zrozumieć słuszność i dalekowzroczność wniosków wysuwanych przez pisarza francuskiego, które w kilkanaście miesięcy później potwierdził XIX Zjazd KPZR, trzeba głębiej przeanalizować czynniki, które złożyły się na to, że powieść Andrè Stila ma dla nas znaczenie tak ważnego i tak prawdziwego ideowo i artystycznie dokumentu historycznego.

Bohaterami książki są dokerzy portu La Pallice. Akcja powieści rozgrywa się w kilka miesięcy po odmówieniu przez dokerów ładunku sprzętu wojennego, przeznaczonego do stłumienia ruchu wolnościowego w Vietnamie. Port zostaje przekształcony w amerykańską bazę wojenną. Wojska amerykańskie zajmują część miasteczka, usiłując wysiedlić tubylców. Na tym tle ukazana została działalność Komunistycznej Partii Francji. Obserwujemy więc tu bardzo silne zagęszczenie najbardziej typowych konfliktów Francji w najbardziej typowych sytuacjach. Takie rozumienie typowości pozwoliło pisarzowi — dojrzałemu działaczowi partii — trafnie ukazać rozwój wypadków.

Spójrzmy na wyznaczniki tej typowości, która *„jest zawsze zagadnieniem politycznym"* (Malenkow), typowości bohaterów, sytuacji, konfliktów.

Dokerzy to czołowy oddział klasy robotniczej Francji. Oni pierwsi hasło walki z okupacją amerykańską poparli zdecydowanym czynem, oni pierwsi praktycznie przeciwstawili się prowadzeniu wojny w Vietnamie. Dokerzy jednocześnie są najbardziej narażeni na zmiany, jakie zaprowadzają nowi władcy; ich losy i losy ich rodzin zależne są od tego, jaki charakter zachowają ich placówki pracy. Klasowa świadomość dokerów, przewyższa na ogół świadomość przeciętnego robotnika francuskiego, dokerzy najbardziej żywo i słusznie reagują na wszelkie poczynania tak rodzimej reakcji, jak i jej mocodawców, a ich organizacje partyjne mają bogate doświadczenie nabyte w ostrej walce klasowej, stając się ogniwami organizującymi i kierującymi życiem nie tylko klasy robotniczej, ale całych miast i osiedli. Dokerzy „Pierwszego starcia" sami rozumieją wyjątkowość swojej sytuacji, która wyznacza im szczególnie trudne zadania: *„...My tutaj znaleźliśmy się na pierwszej linii frontu. Prowadzimy walkę cięższą niż inni. My mamy do zrobienia to wszystko, co inni i na dodatek coś więcej, jakby nowy Ruch Oporu..."* Stil ukazał więc w swej powieści tę najbardziej czułą grupę francuskiej klasy robotniczej w jej codziennej, trudnej walce, jaką prowadzi ona na wszystkich odcinkach. Ukazał kierownicze jądro tej grupy — organizację partyjną. Spojrzenie na życie portu i Francji przez życie i działanie organizacji partyjnej, jak gdyby przez skupiającą soczewkę, pozwoliło autorowi wydobyć niekłamany patos walki robotników francuskich, pozwoliło wyeliminować momenty mniej ważne, a wybrać węzłowe, decydujące o rozwoju wypadków, pozwoliło wyciągnąć słuszne, prawdziwe wnioski.

Jednocześnie Stil potrafił ukazać grozę nowej okupacji, tak wyrazistej i widocznej właśnie w porcie wojennym La Pallice. Potworność tej okupacji jest szczególnie ostra, jak to podkreślił niedawno Erenburg, tam, gdzie Amerykanie budują swoje bazy wojenne, *„twierdze"*, wokół których, wbrew ich zamiarom i woli, skupia się ludność najbardziej wroga i przeciwna ich poczynaniom. Kierując się słusznym rozumieniem typowości, w takim właśnie punkcie Stil umieścił swych bohaterów, rysując jednocześnie ostry konflikt, w jaki popadają Amerykanie nie tylko z klasą robotniczą, ale z większością ludności Francji, gdzie bezpośrednio naruszają jej niezależność narodową, jej możność dysponowania swoją własnością.

„Pierwsze starcie" ukazuje więc przede wszystkim organizowanie przez KPF potężnego antyamerykańskiego frontu narodowego. Przebiega ono w różny sposób na różnych odcinkach pracy. Wyzbywając się szkodliwego sekciarstwa, dokerzy bratersko pomagają niezorganizowanym w związku zawodowym, nie wykluczając ich przecież z życia walczącego kolektywu. Z drugiej strony, komuniści umieją zjednać dla idei frontu narodowego warstwy drobnomieszczaństwa, zagrożone w swym stanie posiadania przez okupację amerykańską. Tak na najdrobniejszych odcinkach walki miasteczka La Pallice przedstawia Stil siłę i słuszność taktyki KPF.

Zacytujemy dwa przykłady. Stil ukazał, jak likwidowanie lokalnego szowinizmu, ciasnego zasklepiania się w sprawach związkowych przyczyniło się do wzrostu zaufania bezpartyjnych do partii. Przecież właśnie szeroka, oddolna dyskusja wciągnęła w orbitę zainteresowań bezpartyjnych także te sprawy, które wydawały się im dotąd zupełnie obojętne. Ta szeroka dyskusja ujawniła słuszne stanowisko Komitetu Centralnego, ukazała szeregowym partyjnym i bezpartyjnym konieczność walki tak z rodzimą reakcją i okupacją amerykańską, jak i remilitaryzacją Niemiec, jako zjawiskami na pozór różnymi, ale jednoczącymi się w dążeniu do tego samego celu. A ileż prawdy obiektywnej zawiera w sobie historia rodziny „pana Ernesta"! Tych dwoje staruszków uczciwych i spokojnych, uważających dotąd za nietakt towarzyski spotykanie się z robotnikami, w obliczu wyrzucenia przez okupanta z domu, postawionego własnymi rękami, przystępuje do akcji organizowanej przez komunistów, jako do jedynie realnej siły stającej w obronie ich spokojnego życia.

Słusznie podnosili nasi krytycy ubóstwo dyskusji ideologicznych i intelektualnych w naszej współczesnej prozie. „Pierwsze starcie" może posłużyć wielu naszym pisarzom jako przykład trafnego rozwiązania tego trudnego problemu. Na szczególną uwagę zasługują tu dwie dyskusje — w baraku związkowym i na zebraniu połączonych komórek partyjnych. Niezmiernie ciekawe jest to zebranie partyjne (pięta achillesowa naszych współczesnych powieści!). Rozdział zatytułowany „Protokół Biura Politycznego" czyta się z prawdziwą satysfakcją. Dyskusja ta, to nie naiwne, z góry zbanalizowane formułki „za" i „przeciw", a w końcu długa tyrada hura — rewolucyjna, ale naprawdę głębokie ścieranie się zdań przemyślanych i uwarunkowanych przede wszystkim charakterem i stopniem uświadomienia wygłaszającego. Nawet głosy niektórych dyskutantów w relacji Stila zawierają w sobie tyle niepokoju, że czytelnik mimowolnie czeka na odpowiedź ludzi bardziej kompetentnych i odpowiedzialnych, którzy w końcu właściwie wyjaśnią sprawę. Wnioski dyskusji, to nie gładkie slogany, ale dogłębna analiza sytuacji międzynarodowej i portu La Pallice. Czytelnik zostaje w pełni przekonany, że dyskutanci naprawdę zrozumieli istotę wskazań Biura Politycznego i wynieśli z zebrania prawdziwy pożytek. W tym tkwi na pewno triumf pisarza - agitatora.

André Stil

W „Pierwszym starciu" obserwujemy także jak poprzez dyskusje ideologiczne wrasta świadomość wielu ofiarnych członków Partii. Stil nie idzie tu na łatwizny; ukazuje trafnie to bardzo specyficzne zapóźnienie teoretyczne działaczy robotniczych w warunkach kapitalistycznych w porównaniu do ich ofiarności i bezkompromisowości. Stil rysuje także bardzo istotne w teoretycznej działalności Partii kierowanie żywiołowego buntu i gniewu robotników na właściwe tory rewolucyjne. Na kartach „Pierwszego starcia" kilkakrotnie obserwujemy wystąpienia „żywiołowców", gotowych w tej chwili do *„wlepienia Amerykańcom porządnego łupnia"*, do spuszczenia im *„tęgiego lania"*, do zaplątania się w awanturę wojenną, bez oglądania się na losy milionów ludzi. Stil przekonywająco ukazał pracę Partii nad podniesieniem teoretycznej świadomości tych „żywiołowców".

Subtelne wniknięcie w najdrobniejsze sprawy przodującej siły narodu — Partii, stanowi na pewno i specyfikę i urok powieści Stila. Tego mogą się od niego uczyć nasi pisarze.

W konstrukcji swojej obszernej trylogii Stil nawiązuje wyraźnie do twórczości Erenburga i Aragona, do stworzonej przez nich socjalistycznej „powieści politycznej", z tym jednak zastrzeżeniem, że wzorom swym nie zawsze dorównuje. Rozbicie kompozycyjne utworu na poszczególne często oderwane, obrazy, mające w sobie pomieścić całokształt życia portu, mimo swych wielu pozytywów, pociągnęło za sobą nieraz obniżenie dynamizmu całego tomu, przerzucając główny punkt ciężkości na poszczególne rozdziały; tym samym autor osłabił bardzo wyraźnie uwagę czytelnika skierowaną przecież na całokształt zagadnień, obniżył jego bezpośrednie, emocjonalne zainteresowanie losami bohaterów.

Zarzut ten formułowany jest jednak o tyle na wyrost, że znamy zaledwie pierwszy tom trylogii; możliwe więc, że dalsze tomy błąd ten może zlikwidują, gdyż pod koniec „Pierwszego starcia" widzimy już jak podsumowanie poszczególnych rozdziałów tworzy końcowy, pełen optymizmu obraz zwycięstwa dokerów.

Mimo tego, że autor nie podał karty personalnej swych bohaterów, wiemy o nich niejednokrotnie więcej, niż gdybyśmy znali ich tasiemcowe życiorysy. Ileż sympatii i ciepła skupia w sobie ten wydawałoby się gruboskórny Leon. Jakżeż ciekawą, pełną inteligencji postacią, jest Paul, mimo że autor wcale nigdzie tego nie sformułował w swoim komentarzu. Gorzej wypadł Henri, jeden z czołowych działaczy partyjnych; mimo wielu dobrych scen, pozostał trochę szablonowy. Książka obfituje we wspaniałe skróty sytuacyjne, wnosi wiele momentów prawdziwego humoru. Napisana żywo i interesująco, stanie się na pewno ulubioną lekturą polskiego czytelnika. Należy z uznaniem podkreślić inicjatywę wydania tego tomu w masowym nakładzie w cenie po 2.40 za egzemplarz.

*

Książka Stila winna przyczynić się do zrozumienia przez tych naszych obywateli, którzy jeszcze dotąd mają jakiekolwiek złudzenie co do korzyści przyniesionych przez „wolną Amerykę", jakie skutki ekonomiczne sprowadza plan Marshalla, jaką rzeczywistość dla ludności Europy zachodniej gotują przygotowania wojenne. „Pierwsze starcie" przynosi czytelnikowi polskiemu bogaty zasób wiedzy o życiu robotników francuskich, o działalności ich partii, o nieubłaganej walce z amerykańskim okupantem. Jest wspaniałym dokumentem poznawczym i artystycznym nowego francuskiego Ruchu Oporu.

Stanisław Siekierski

*) *André Stil, Pierwsze starcie. Pod wieżą ciśnień — Czytelnik, W-wa, 52, tłum. Jerzy Lisowski.*

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

O sztuce opowiadania

W postępowej literaturze rosyjskiej XIX wieku opowiadanie zajęło zaszczytne miejsce. Początek prozy realistycznej stawiającej w centrum zainteresowań sprawy „małego człowieka", zbiegł się z narodzinami nowego typu opowiadania. Gawędy, rzekomo opowiedziane przez Biełkina, urosły pod piórem Puszkina do rozmiaru arcydzieł narracji i wiedzy o historycznie konkretnym człowieku. Lermontow, Gogol, Turgieniew, Lew Tołstoj, Sałtykow - Szczedrin, Leskow, Gleb - Uspienski, Mamin-Sibiriak, Czechow, Garszin, Korolenko i Gorki stworzyli szkołę **małej formy prozatorskiej,** nacechowanej szlachetną i żarliwą tendencją społeczną, a wysoce kunsztownej w wykonaniu.

Opowiadanie radzieckie mogło zatem oprzeć się o nie byle jakie tradycje, a jednocześnie szerzej niż dotąd w historii literatury rosyjskiej wprowadzić na swoje karty już nie pojedyńczych bohaterów, ale szerokie masy ludowe.

Dziś opowiadanie radzieckie liczy tysiące pozycji. Bogactwo nowej tematyki urozmaiciło także formy narracji i pozwoliło pisarzom przedstawić w pełni kraj radziecki i jego twórców, miliony prostych ludzi. Gorki, Bażow, Fiedin, Priszwin, Małyszkin, Gajdar, Dzikowski, Pawlenko, Tichonow, Kożewnikow, Grossman, Polewoj, Paustowski — oto, bynajmniej jeszcze nie wszyscy, mistrzowie radzieckiego opowiadania.

Wychowawcza rola radzieckiego opowiadania wystąpiła z całą siłą w okresie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W tych trudnych latach opowiadanie miało zadanie mobilizujące. Toteż uzyskało szczególną popularność i nie schodziło ze szpalt gazet i pism przyfrontowych. Jako szczytowe osiągnięcie tego okresu zanotować należy „Opowiadania Iwana Sudarewa" pióra Aleksego Tołstoja.

Ale po wojnie opowiadanie nie utrzymało tej swojej wysokiej pozycji. Czy zmniejszyły się zainteresowania czytelników, czy uległ zwężeniu zakres tematyczny? Bynajmniej. Okres wielkich budowli komunizmu postawił przed literaturą nowe zadania, ale jak dotąd pisarze odpowiadają na nie głównie reportażem.

Wytworzyła się błędna teoria, że mała forma warunkuje „małą" treść, że środkami opowiadania nie da się udźwignąć wielkiego tematu. Teoria na wskroś fałszywa. Krytyka radziecka uderzyła na alarm. „Litieraturnaja Gazieta", zwalczając tę teoryjkę, zauważyła: „Sens mylnego rozumowania zasadza się na mniemaniu, że wszystko to, co z racji swej małej wagi nie może stać się materiałem albo fabułą powieści, zagarnia „w swoje sieci" opowiadanie. Jest to sąd niesłuszny. Ale skoro istnieje taka „koncepcja" i oddziaływuje na prozatora, wynikiem fałszywego założenia musi być obniżenie poziomu i pewna jednostajność opowiadania, którą dało się niedawno zauważyć. Tymczasem opowiadanie to nie fragment obrazu, ale cały obraz. Zasługuje ono na uwagę pisarza i uznanie czytelnika jako pełnowartościowy gatunek sztuki... Oczywiście, należy brać pod uwagę specyfikę tego rodzaju literackiego, nie można żądać od opowiadania olbrzymiej motywacji, zrozumiałej w utworach wielkiego formatu, nie można przeładowywać narracji zbędnymi szczegółami". K. Fiedin powiedział: „Opowiadanie jest jak pokój, który nie może być przeludniony".

W trosce o przywrócenie opowiadaniu właściwej rangi w literaturze i ponowne zdobycie popularności wśród czytelników, krytyka zwróciła większą uwagę na ten krzywdzony ostatnio gatunek. Ukazał się trzytomowy wybór opowiadań radzieckich. „Ogoniok" przeprowadził masowy konkurs na opowiadanie. Opowiadania pojawiły się w wielu popularnych pismach takich jak „Zmiana", „Radziecki Żołnierz", „Robotnica", „Młody Kołchoźnik" itp. Tu obok rzeczy miernych znalazły się opowiadania naprawdę napisane z talentem, a co najciekawsze, **niezawodowym** piórem.

Krytyka radziecka słusznie stwierdza, że opowiadanie ma ogromną zdolność ukazywania wzrostu i przemian ludzi radzieckich na wielkich budowlach komunizmu, zdolność uchwycenia pierwszych rysów rodzącej się komunistycznej psychiki.

W tym odkrywczym zakresie opowiadanie i u nas ma ogromną rolę do spełnienia. Na ogromnym placu budowy socjalizmu może być potężnym reflektorem, oświetlającym nowych ludzi i powstające między nimi stosunki. Dlatego też interesować nas muszą losy opowiadania radzieckiego i rozważania krytyki, ujawniające tajniki narratorskiego kunsztu.

*

Pouczające mogą być dla nas rozważania popularnego w Związku Radzieckim nowelisty, Sergiusza Antonowa, drukowane ostatnio na łamach „Litieraturnej Gazety". Antonow analizuje plon najczęściej „niezawodowych" opowiadań „Ogonioka".

Uwagi Antonowa ujęte zostały w formę listów do autorów analizowanych opowiadań. Zatrzymajmy się najpierw nad sprawami idei i obrazu artystycznego, charakterystyki postaci, cech typowych i indywidualnych.

Antonow pokazuje na przykładzie najcelniejszych opowiadań Czechowa i Gorkiego, że ideę utworu artystycznego czytelnik poznaje poprzez obraz artystyczny, poprzez literacką postać. „Tym właśnie — pisze Antonow — różni się artystyczne dzieło na przykład od filozoficznego traktatu, że w artystycznym dziele abstrakcyjna idea przyobleka się w ciało, przemienia się w człowieka. Rezultatem twórczości artysty jest idea, która stała się ludzką postacią, działającą osobowością, przedstawicielem określonych idei swojego czasu, jak mówił Engels".

Ale ten proces obcy jest beznamiętnej kontemplacji, nie sprowadza się do bezstronnej obserwacji życia. Pisarz wydobywa i zaostrza tę cechę postaci, która ją najbardziej charakteryzuje z punktu widzenia ideowych zadań opowiadania. Postać traci swój „prywatny" charakter, zmienia się w typ. „Typowość — mówił Malenkow — odpowiada istocie danego zjawiska społeczno - historycznego, nie jest zaś po prostu zjawiskiem najbardziej rozpowszechnionym, najczęściej się powtarzającym, powszednim. Świadome przejaskrawienie, wyostrzenie obrazu nie wyklucza typowości, lecz w pełniejszej mierze ujawnia ją i podkreśla".

Ale typowość nie wyklucza cech indywidualnych. Ujemnym zjawiskiem wielu naszych opowiadań — zauważa Antonow — jest to, że bohater albo zostaje obdarzony tylko typową cechą i wtedy staje się schematyczny, albo posiada cechy wyłącznie indywidualne. W drugim wypadku bohater traci ideowy wymiar, staje się społecznie nieciekawy. Zewnętrzna charakterystyka musi zbiegać się z psychologią bohatera. Dobrym zabiegiem jest charakteryzowanie postaci poprzez opis otoczenia, konkretnych realiów. Postać charakteryzuje się także poprzez zindywidualizowany język i wreszcie przez akcję. Engels pouczał, że postać cechuje nie tylko to, co ona czyni, ale jak czyni. Sposób działania dobitnie określa bohatera.

Opowiadanie, w odróżnieniu od reportażu, zaciekawia czytelnika przede wszystkim **akcją.** Im bardziej jest wartka fabuła, im żywszy tok narracji, tym silniejsze jest zainteresowanie czytelnika. Ale krytyka radziecka przestrzega przed tym, aby umiejętności opowiadania, opisywania życiowych sytuacji, uczynków bohatera nie uważać za cel sam w sobie. Narracja służy uwypukleniu postaci bohatera, odrysowaniu jego postępków i w rezultacie wyrażeniu idei utworu. Dobry nowelista tak konstruuje fabułę, że wydarzenia pozwalają ujawnić się najbardziej typowym cechom ludzkim.

Biorąc bohatera z życia, „przesadzając" go niejako do opowiadania, postępujemy, jak ogrodnik. Nie wyrywamy bohatera z jego ojczystej gleby. Drzewo przesadzamy ostrożnie, wykopując korzenie wraz z ziemią. Podobnie bohatera. Ale niekiedy ziemi jest mało. Drzewo nie chce zakwitnąć: bohater nie ma skąd czerpać soków. Wtedy trzeba ziemi dosypać czyli dorobić bohaterowi sytuacje życiowe. Z wyjątkiem wypadków, kiedy opowiadanie jest samograjem, pisarz najczęściej dorabia „sytuacje", aby fabuła była pełniejsza i ujawniła typowość bohatera.

Jak należy „wymyślać" takie dodatkowe a częste w praktyce pisarskiej sytuacje? Na młodego, niedoświadczonego prozaika czyhają, liczne niebezpieczeństwa. Antonow ostrzega: wymyślać, dorabiać detale i skomplikowane momenty fabuły można tylko wtedy, gdy w świadomości pisarza dojrzał w pełni obraz występującego bohatera, a więc dojrzała także idea opowiadania. Inaczej może powstać niebezpieczeństwo działania odśrodkowego: wymyślone epizody zaczną żyć własnym życiem i niedopasowane do charakteru postaci, do koniecznych pobudek jej postępowania — rozbiją całość kompozycyjną, zaciemnią typowość postaci i ideę.

Łańcuch wydarzeń w opowiadaniu — pisze Antonow — dopiero wtedy będzie się dobrze wiązał i spełni swój cel, jeśli w każdym następnym wydarzeniu obraz bohate-

(dokończenie na str. 7)

ZE WSPOMNIEŃ INSTRUKTORA OŚWIATOWEGO ZWM

(dokończenie ze str. 2)

bą przechowywali się krasnoarmiejcy, którzy w lecie 43 roku poszli razem z naszymi chłopcami do partyzantki.

Podobnie jak z mieszkaniami było i z ludźmi. Już samo połączenie szkolenia wojskowego, ideologicznego i przeprowadzania akcji wywołało konieczność pracy każdego zetwuemowca na różnych odcinkach. Wielu z nas poza tym łączyło w jednym ręku szereg funkcji — pracę na kole z kolportażem prasy z drukarni na podpunkty, z pracą w drukarni, przy wyrobie materiałów wybuchowych itd. Ja w 1944 r. byłam członkiem redakcji „Walki Młodych". Redaktorem naczelnym była Hela Jaworska, poza nią było nas kilkoro — artykuły i sprawozdania z akcji mogli pisać wszyscy. Praca w redakcji była b. trudna ze względu na znikomo małą objętość pisma. Cztery, rzadko osiem stroniczek formatu mniejszego od kartki zeszytu gęsto zadrukowanych drobną czcionką. Artykuły liczyło się nie na wiersze, a na znaki pisarskie. 3 — 6 tys. znaków to była norma, 10 tys. to wyjątek. Artykuły, sprawozdania z przeprowadzonych akcji, z sytuacji w kraju i na frontach musiały być niesłychanie zwięzłe i rzeczowe, a przy tym agitacyjne, ciekawe, podające ważne wiadomości, bo przecież „Walka Młodych" była pismem propagandowym, szeroko przez nas kolportowanym. Opracowaniu każdego numeru było poświęcone 2 — 3 zebrania redakcji — zapoznawaliśmy się na nich z całym życiem organizacji — oczywiście w granicach wyznaczonych przez konspirację.

Ostatnie zebranie ZWM-u odbyło się w mieszkaniu Tarłowskich przy ulicy Dobrej dn. 1.VIII.1944 roku o godzinie 16. Front huczał już od paru dni. Żyliśmy w napięciu przygotowując się do bliskiej chwili wyzwolenia przez wojska radzieckie i polskie. Stało się jednak inaczej. Zebranie przerwała bliska wymiana strzałów i wybuchy granatów. W pierwszej chwili nie byliśmy pewni, czy to zapowiadane przez akowców powstanie, czy przypadkowa strzelanina. Gdy się nieco uciszyło rozeszliśmy się każdy do swojej pracy, na swoje koło: Zośka Jaroszewicz ze Stefanem Żółkiewskim na Pragę, „Danka" i „Artur" Jaworscy, „Karol" Frankowski na Wolę, Hela Jaworska, Morawscy gdzieś na śródmieście. Potem z niektórymi spotkaliśmy się po tygodniu na Starówce, wzgl. po miesiącu na śródmieściu w szeregach zetwuemowego batalionu Czwartaków.

Z Zośką Jaroszewicz „Kasią" — przewodniczącą Zarządu Warszawskiego ZWM — nie zobaczyliśmy się już nigdy.

Helena Balicka-Kozłowska

O SZTUCE OPOWIADANIA

(dokończenie ze str. 6)

ra zyska jeszcze jedną nową cechę. Indywidualność postaci będzie się wzbogacała, przybierała żywsze, coraz to nowe kolory. Ale z poprzedniej sytuacji musi wynikać następna. W ten sposób powstaje motywacja postępowania bohaterów. Antonow powołuje się na przykład Turgieniewa, który w opowiadaniu pt. „Mumu" dał nieprześcignioną motywację uczynków bohatera.

✣

Antonow dużą wagę przywiązuje do tego, co nazywa „punktem widzenia" w opowiadaniu. Opowiadanie musi zająć wyraźne stanowisko, rozwijać się z punktu widzenia autora (opowiada sam pisarz, cały tekst stanowi wypowiedź odautorską), albo z punktu widzenia któregoś z bohaterów akcji. W trzecim wypadku może mieć miejsce łączenie na przemian mowy odautorskiej i stanowiska bohatera.

Czernyszewski pisał, że artysta w dziele tworzonym sprawuje sąd nad życiem. Skoro tak jest, występuje zawsze w opowiadaniu w sposób jawny lub ukryty odautorska zasada wartościowania. Za każdym szczegółem opowiadania daje się poznać postawę autora. Lew Tołstoj mawiał, że, kiedy czyta nowe dzieło artystyczne, towarzyszy mu pytanie: kim jest autor, co nowego ma do powiedzenia o życiu. Oceniając życie, pisarz wypowiada oczywiście światopogląd swojej klasy, charakteryzuje i ocenia moment historyczny, w ramach którego toczy się opowiadanie.

I tu powstaje pytanie czy pisarz ma świadomie akcentować swoją pozycję, otwarcie wyrażać swój sąd, jak to czynili Gogol, Sałtykow — Szczedrin, Gorki i inni, czy też, jak to zaleca Flaubert, pisarz powinien pozostać w ukryciu, nie zauważony przez czytelnika, a wypowiadać się w sposobie przedstawiania sytuacji i konkretnych realiów.

Trudno o ścisłą receptę, lecz Antonow uważa, że i w drugim wypadku sąd twórcy nad życiem wystąpi w tzw. intonacji autorskiej. Co to jest intonacja autorska? Jeśli pisarz uniknie nawet odautorskiego sądu w tekście opowiadania, selekcja faktów, wybór realiów, wreszcie zaostrzenie typów i zjawisk — zdradza stanowisko wartościujące pisarza. Albowiem zaświadcza o stosunku pisarza do opisywanego tematu. Tę cechę utworu nazywa Antonow właśnie autorską intonacją.

Małe opowiadanie to jeszcze nie znaczy: mała myśl. Radzieckie opowiadanie w sposób najbardziej zwarty służy wielkiej myśli — wychowaniu nowego człowieka.

Grzegorz Timofiejew

LUDWIK MAJ

JESZCZE NA TEMAT REPORTAŻU POGANA

(Czyli o wymaganiach czytelnika—działacza)

Wśród czytelników wiejskich — coraz to większą popularność zdobywa reportaż literacki — który spotykamy na łamach naszej prasy czy też w wydaniach zbiorowych.

Tajemnicę poczytności tego rodzaju „małych form" upatruję w tym, że reportaż chwyta na gorąco „kęs" życia niezmyślonego, wyrwanego „żywcem" z terenu, w którym żyjemy lub się nim interesujemy.

W reportażu obowiązuje pisarza ścisłość faktów, osób, zdarzeń — niejedna dyskusja to potwierdziła. Mnie jako czytelnika i miłośnika tego rodzaju interesuje nie tylko piękno fabuły, wachlarz środowisk czy spraw „ukutych" literacko wokół procesu przemian, jakie w „soczewce" reportażu zgrupował pisarz, ale przede wszystkim poznać chcę te problemy i procesy od strony praktycznej, aby móc przyswoić i zastosować w moim środowisku to, co pisarz wysnuwa z faktów, co ukazuje w świetle krytyki, w czym i przez co otwiera perspektywę przyszłości. Reportaże zmuszają czytelników do prześwietlenia ich własnej drogi, środowiska, organizacji pracy; na cudzych błędach czy osiągnięciach pomagają porównać, odrzucić czy przyswoić w praktyce doświadczenia zawarte w reportażu.

Tego rodzaju „wymagania" czytelnika pisarze muszą wziąć pod uwagę w swoich pracach. Pisarz spełnia w naszym ustroju w pewnym sensie funkcję „karczownika" naszych nawyków i błędów, „przewodnika" w gąszczu narastających sprzeczności, „busoli", wyznaczającej kierunek drogi na każdym jej etapie — do socjalizmu.

Wacław Palik w art. „Wspomóżcie front małych form" („Wieś" nr 4) na przykładzie reportażu Józefa Pogana szeroko nakreślił funkcję tego rodzaju prac pisarskich. Ja chcę tu podjąć dwa wskazania, aby w reportażu nie zagubiono piękna literackiego, a w mozaice fabuły nie zaciemniano problemu, na który właśnie reportaż wskazuje.

✣

Weźmy dla przykładu reportaże Kuśmierka. Kuśmierek buduje je pod kątem indywidualizmu, opiera na jednostkach „mocarzach", którzy w pojedynkę, jak błędni rycerze, walczą ze złem. Czy nie spostrzega Kuśmierek społeczeństwa pracującego? Tak, widzi je, ale biadolące, przechodzi ono obok zła, brak mu zbiorowej inicjatywy. Przypuśćmy na chwilę, że tak było, że autor sam musiał wszystko naprawiać, ale czy na tym koniec? Wraz z bohaterem - mocarzem, który wkracza w określone środowisko i sam sprawia „cuda", do reportażu przenika taka polityka, takie polityczne ujęcie, które nie tylko ukazuje niedojrzałość społeczną i bezradność mas (chłopskich), ale je zakłada na przyszłość. Dla was bez was! *Taką zasadę głosi bohater - wyręczyciel w reportażach Kuśmierka, choć przecież tego nie mówi.*

W naszej gminnej spółdzielni w Bystrej przed dwoma laty źle się działo. Pijaństwo „szefów", połączone z kumoterstwem i zabezpieczonym zapleczem, powodowało powolną ruinę placówki spółdzielczej Manka stały się chlebem powszednim, a dziwnym trafem wyskakiwały u biednych zetempowskich dziewczyn. Pracujący chłopi biadolili, przeklinali, pisali zażalenia, ale w pojedynkę. Nic to nie pomagało. Znów dziwnym trafem zażalenia szły do tych „miarodajnych", co wespół z zarządem GS tworzyli „przedsiębiorstwo fachowców". Nie wystarczyły takie czy inne przesunięcia personalne, „łrzon" bowiem nawet nadszarpnięty, wnet się wyrównywał. Potrzeba było zbiorowego wysiłku pracujących chłopów *gminy Bystra, aby zajrzeć za „kulisy" tego „przedsiębiorstwa". Wykryte manko w magazynie na 47.000 zł (tuż pod oknami zarządu GS), potwierdziło dotąd w pojedynkę słane skargi. W Bystrej tkwił mocno zasiedziały wróg klasowy w aparacie spółdzielczym, łącząc przebiegłość całej przedwojennej spekulacji z poparciem u niektórych pracowników w aparacie PZGS.*

Ale pod naciskiem zbiorowej inicjatywy pękło zło. Na tę zbiorową inicjatywę złożyła się działalność i gazetki naszej i zebrań gromadzkich. Prokurator w imieniu społeczeństwa pracującego zrobi „rachunek sumienia" klice, ale ważniejsze w tym jest to, że społeczeństwo poznało wartość zbiorowej inicjatywy. I to należałoby w reportażach stawiać za cel, pokazać jak partia ożywia chłopów, jak wzbudza ich zaufanie i inicjatywę. Niedobrze byłoby czekać na pisarza z Warszawy, by za chłopów sprawy załatwiał.

✣

Weźmy z kolei dla przykładu spółdzielnię produkcyjną Wilamowice, o której pisał Józef Pogan „Na pagórkowatych ziemiach Cieszyńskiego" („Wieś" Nr 4). Byłem w tej spółdzielni wkrótce potem. Już pierwszego dnia narzuciły mi się problemy, warte zanotowania. Ale przedtem postawię pytanie, skierowane do Pogana. — Czy reportaż Wasz mógł pomóc spółdzielcom Wilamowic oraz indywidualnym chłopom pracującym wokół tej spółdzielni? Czy czytelnik może sobie z niego coś przyswoić w swoim terenie? Bo obecnie nowo zakładane spółdzielnie powinny oprzeć się na wielu doświadczeniach przetrawionych wcześniej. Trzy lata doświadczeń w kilku tysiącach spółdzielni to kopalnia wiedzy i arsenał uzbrojenia.

Spółdzielnia w Wilamowicach łączy 40 członków na 62 ha ziemi. Większość to biedniacy, którzy — według „przepowiedni" bredzących kułaków — nigdy, pono, nie będą zdolni do należytego gospodarowania.

Na przykładzie spółdzielni w Wilamowicach ta „filozofia" kułacka wzięła w łeb. „Dziady" potrafiły podnieść dochód na zespołowym gospodarstwie dwukrotnie w porównaniu z najlepszymi rolnikami indywidualnymi. Jest to niewątpliwie zwycięstwo biedoty, co zresztą potwierdzają i średniacy indywidualni — czujnie obserwujący gospodarkę spółdzielczą. To jeden problem, wart przedstawienia przez pisarza, a czego Pogan nie uczynił.

Fot. J. K. Maciejewski

Ale jeden problem wynurza z ciemności drugie zagadnienie. Dlaczegóż to mianowicie okoliczni średniacy, skoro wyciągają wnioski, że spółdzielnia otwiera szerokie możliwości produkcyjne — nie wstępują i nie poszerzają areału spółdzielczego? Pytałem przewodniczącego... Wstrząsnął ramionami — A czy nam to samym źle? To znaczy, że zasklepili się w swoim „przedsiębiorstwie" (jak słusznie wnioskował W. Palik, analizując reportaż Pogana) i nie chcą zdobyć dla spółdzielni całej ws; (wszystkich pracujących chłopów).

Co ułatwiało zarządowi taką „krytą" politykę separatyzmu? Biedniacy i byli fornale wraz z fachowcami założyli spółdzielnię w oparciu o III typ (najwyższy). Nie szło im o czerpanie dochodu za wkład z ziemi — a indywidualni średniacy ciążyli do niższych typów. Ale to jeszcze nie najważniejsza przyczyna, jaka zagrodziła średniakom drogę do spółdzielni. Tu małe wyjaśnienie. Przewodniczący Kałębasiak, z którym rozmawiał Pogan, który i mnie rzekł — a czy nam to samym źle (bez rozszerzenia zespołu) — już za mojej bytności przewodniczącym nie był.

Nie zgrany był kolektyw — bo łączył w sobie prostych rolników i fachowców na zasadzie, takiej właśnie, jakiej domyślał się Palik w swym artykule. Przewodniczący Kałębasiak dyrygował „przedsiębiorstwem" nie doceniając entuzjazmu zespołowego byłych biedniaków.

Walne zebranie członków obaliło tę sztuczną barierę, która nie tylko utrudniała należyte współżycie członków - chłopów z „fachowcami", ale wstrzymywała dopływ indywidualnych chłopów. Był to trzeci problem a drugie zwycięstwo biedniaków, dorosłych do gospodarzenia spółdzielnią. Trzeba zaostrzyć czujność wobec takich działaczy, jak były przewodniczący w Wilamowicach. Bo co obserwujemy — kiedy zwykli chłopi zaczynają przerastać takich „działaczy" i biorą się do konkretnej pracy, to właśnie ci „działacze" robią wszystko — by opóźnić rozbudowę spółdzielni na całą gromadę.

Poganowi nie chciało się wyjrzeć na wieś. Jakby można dziś spółdzielnię zamykać do oddzielnej szuflady, jakby jej życie nie sprzęgało się z życiem indywidualnym i odwrotnie. Gdyby Pogan wyjrzał na wieś, dostrzegłby, że taki Micza Karol, prezes gromadzki ZSCh w Wilamowicach wstrzymuje indywidualnych chłopów. Tak twierdzą spółdzielcy. Jakże są oni niesprawiedliwi, skoro pan prezes od dwóch lat „nawołuje" do spółdzielni, tylko... sam nie wstępuje. Podobnie się prezentują ob. Hubczyk, „aktywista" ZSL, Kaweszem, Piszczak Antoni — „aktywiści"...

W sąsiednim Dębowcu, gdzie także jest spółdzielnia również się okazuje, że drogi do niej nie znaleźli tylgo grubsi „aktywiści" jak prezes GKW ZSL ob. Żwak ze swoją rodziną, ob. Porada, Gawralowski. A przecież nie jedną godzinę „poświęcili" uświadamianiu sąsiadów... Prości ludzie uwierzyli słowom działaczy i poszli do spółdzielni, a „działacze" tacy zostali na swoim.

Nowy to problem. nowy w naszych obrachunkach kilkuletnich, wart rozszyfrowania. Pisarz powinien rozświetlić rolę takich „działaczy", kiedy się na nich natknął, ułatwiłby rozrost spółdzielni demaskując wrogów.

W świetle tych kilku przykładów nurtujących spółdzielnię i wieś Wilamowice można powiedzieć, że reportaż Józefa Pogana nie pomógł ani spółdzielcom, ani indywidualnym chłopom, ani czytelnikom. — Powierzchownie brać materiał z „księgowości", to nie uchodzi pisarzowi — trzeba rozgryźć problemy, trzeba teraz — Józefie Pogonie — przewodzić dawnym zagoniarzom; podnieśli bowiem głowy, walczą i tworzą nowe życie. A za kronikę, dosłownie — kronikę liczb i nazw — pięknie dziękujemy. Obejdziemy się. My — bo ja również jestem małorolnym, 3-hektarowym góralem.

Ludwik Maj

JERZY K. MACIEJEWSKI

W spółdzielni byłych biedniaków

PRZEWODNICZĄCY spółdzielni, Franciszek Gołębiewski nieobecny; leczy się w sanatorium. Zastępował go członek zarządu, Władysław Maciak, chłopisko wysokie, o dużej twarzy. Oprowadzając mnie opowiadał o sprawach spółdzielni, a do tej relacji coraz wtrącał się któryś z jej członków, przysłuchujących się uważnie, jakby raz jeszcze chcieli usłyszeć potwierdzenie spraw dobrze przecież im znanych.

Władysław Maciak i Feliks Okupski

— Mamy teraz 26 członków i 200 ha ziemi...

— Wszystko się urodzi — wtrąca stary Feliks Okupski. — Nawet cebula. Pierwszorzędna ziemia.

— Krów mamy 12 — ciągnie dalej Maciak — jałowizny 19. Proszę — pokazywał z dumą na żwawe cielaki — kto wie, czy nie lepsze jak w PGR. Koni jest 10 i źrebak. Świń około 50. Ale — zafrasował się i jednocześnie zasępiły się twarze spółdzielców — nie mamy ani obory, ani stodoły. Inwentarz żywy stoi w budynku POM. Bo tu wszędzie, na tym wielkim dziedzińcu — Maciak zatoczył ręką wokoło — gospodaruje POM. My tu jesteśmy kątem. Maszyny jak rok okrągły stoją na dworze, jest tu wielka stodoła, ale w niej POM ma swoje pługi i brony. Mamy za szosą budynek—w sam raz zdałby się na pomieszczenie indywidualnego inwentarza spółdzielców, ale tam ulokował się i nie myśli wyjść GS ze swym podręcznym magazynem. Żeby nam to oddali, to tam, gdzie teraz spółdzielcy mają swój żywy inwentarz, można by pomieścić chlewnię. Mamy ciasno, dusimy się...

Spółdzielcy są zdania, że skoro POM użytkuje tak wiele zabudowań, to czy Państwo zamiast POM-owi nie mogło wybudować stodoły czy śpichrza im, spółdzielcom? Chcieliby jeszcze bardziej rozwinąć hodowlę. Budują wprawdzie chlewiarnię, na którą dostali 40 tys. zł pożyczki, ale to nie rozwiąże kwestii.

Część spółdzielców mieszka we własnych, wybudowanych już po wyzwoleniu przy pomocy kredytów państwowych domkach, część jednak gnieździ się w czworakach podworskich, pomieszana z pracownikami POM. Marzeniem spółdzielców byłaby wymiana mieszkań z POM, obecny bowiem stan rzeczy nie ułatwia im pracy i nie sprzyja zorganizowaniu gromadzkiego pożycia. Mała świetlica w tych warunkach rozproszenia w terenie nie spełnia swego zadania.

Nic tedy dziwnego, że sprawa zabudowań gospodarczych, jako najdotkliwsza bolączka, wypływa przy każdej rozmowie ze spółdzielcami:

— Żeby oddali stodołę, — mówi Okupski, — która nie jest POM-owi potrzebna, to na oborę zdobylibyśmy się sami. Nie powinna kosztować więcej, jak 200 tysięcy. Mamy tu taki budynek o 2 kilometry w polu. Gdyby do niego dołożyć ze 60 tysięcy, to w przyszłości mogłoby być pomieszczenie dla jałowizny, owiec...

— Stodoła nam potrzebna, jak ojciec lub matka — wzdycha Kazimiera Gutowska.

Bedlno jest spółdzielnią dobrą. Świadczy o tym chociażby zdobycie po raz drugi z rzędu sztandaru przechodniego w powiecie. Dniówka obrachunkowa wyniosła w tym roku 33.76 zł, z czego w gotówce 25 zł. W przeddzień mojego przyjazdu do spółdzielni zgłosili się i zostali przyjęci Jan Janczewski z żoną i Jan Kamiński z żoną, którzy byli zrazu na „komornym", a potem dzierżawili kilka ha w Skrzeszewach. Ta indywidualna gospodarka zalała im sadła za skórę. skoro przyjęcie do spółdzielni traktują jak wybawienie. Wyznaczono im na mieszkanie obszerną izbę na piętrze budynku, zajmowanego przez GS. Tam ich też zastałem. Urządzali się na nowych „śmieciach".

Starzy Janczewscy sumitowali się gęsto. On, że to do spółdzielni już dawno chciał przyjść, ona — że bała się normy, bo ona na normę już za stara...

A w niedzielę rano zjawił się mały, niepokaźny człeczyna — Jan Jóźwiak z Janowa, gospodarz 1-morgowy. I on chce do spółdzielni. Na pytanie, co nim powoduje, wyjaśnia:

— Może sobie poprawię. Pracuję w Skierniewicach. Ale chciałbym do spółdzielni przystąpić z wiosną, od 1 marca, bo ziemia ciągnie starego chłopa.

— Czy was kto do spółdzielni namawiał?

— A któż mnie może namawiać? Do pracy idę z własnej chęci.

Ten dopływ nowych sił cieszy spółdzielców, choć Bedlno nie cierpi na brak rąk do pracy. Może też sobie pozwolić na zakontraktowanie 12 ha buraka cukrowego, 1 ha pomidorów, 12 ha kartofli przemysłowych, 2 ha kapusty, 1 ha ogórków. Ogrodnika mają dobrego. To Tadeusiak. Zna się na rzeczy.

Irena Michalakówna

Jacyż to ludzie są w spółdzielni i jakie drogi do niej ich przyprowadziły?

Oto dwa wymowne przykłady:

Magazynierem spółdzielni jest Adam Gutowski, liczy sobie 62 lata i — jak to się mówi — z niejednego pieca chleb jadł. Jako pierwszy podpisał przystąpienie do spółdzielni. Wychował pięcioro dzieci. Jedna z córek kończy liceum w Łowiczu, druga pracuje w GS. Jego młodość

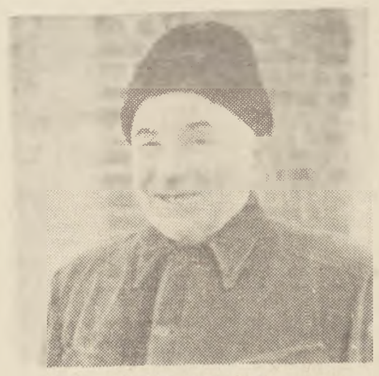

A dam Gutowski

była znacznie trudniejsza. Urodził się jako syn robotnika folwarcznego i zaczął pracować mając zaledwie 8 lat. Zbierał na dworskim polu kamienie. Zarobek wynosił 16 groszy dziennie. Bardzo się z tych groszaków matka cieszyła... Z biegiem czasu, własnym przemysłem, wykierował się na mechanika, uczył się. W r. 1918 organizował Zw. Zawodowy Robotników Rolnych, w r. 1919 — strajk w majątku Łęki. Bywał aresztowany, nieludzko bity... Po wyzwoleniu Partia wyznaczyła go wójtem. Wziął z reformy rolnej 3,2 ha w r. 1947 dodano mu jeszcze 2 ha. W r. 1948 on, podobnie jak Maciak, zaczął się budować. Teraz Gutowscy mają piękny domek, a Kazimiera Gutowska słynie jako dobra gospodyni. Ich córka, ta z GS. kupiła sobie niedawno komplet mebli za 12 tys. zł, płatny ratami po 500 zł miesięcznie. Stać ich na to...

Irena Michalakówna ma lat zaledwie 22, śliczne zęby jak perły, rumieńce nie schodzą z jej uśmiechniętej twarzy. Jest przodownicą pracy w spółdzielni. W tym roku miała 196 dniówek obrachunkowych i miałaby — jak z dumą powiada — znacznie więcej, ale dopiero w maju przystąpiła do spółdzielni. Przedtem pracowała u gospodarzy: 3 dni za metr żyta. Ale gdy przyszło do zapłaty, kułak Żuchowicz, co siedzi na 3 włókach ziemi, chciał jej zapłacić nie zbożem, lecz gotówką.

— Teraz wiem, co zarobię.

Jerzy K. Maciejewski

Kronika radziecka

„ROZSZERZAĆ FRONT BOJOWEJ PUBLICYSTYKI"

POD takim tytułem „Litieraturnaja Gazieta" publikuje rozważania i postulaty, związane z oceną działalności Sekcji Reportażu i Publicystyki Związku Pisarzy Radzieckich oraz aktualnej wartości poszczególnych książek reportażowo-publicystycznych.

„Litieraturnaja Gazieta" nawołuje pisarzy, aby szerzej i intensywniej niż dotąd uprawiali reportaż i chwytali za broń publicystyki w walce politycznej z imperializmem. „Publicystyka — pisze „Litieraturnaja Gazieta" — to główna linia ideologicznej walki. W naszym kraju każdy pisarz powinien uważać publicystykę za swoją najpoważniejszą, osobistą sprawę. Publicystyka organicznie łączy się z najróżniejszymi gatunkami naszej literatury — z powieścią, ze sztuką sceniczną i z poezją. Dobry szkic, reportaż lub artykuł, w tej liczbie teoretyczny, jest wprost nie do pomyślenia bez płomiennej, publicystycznej emocjonalności".

„Litieraturnaja Gazieta" zwraca uwagę na rolę publicystyki w postępowej literaturze rosyjskiej XIX wieku, kiedy ten rodzaj literacki uważany był za pierwszorzędną broń w walce o postęp. Znaczenie publicystyki podnosił stale Bieliński; wzory publicystyki przekazał Puszkin. W Związku Radzieckim publicystyka z miejsca znalazła ogromne uznanie. Gorki pisał: „Nigdy i nigdzie dzieło poznania własnego kraju nie rozwinęło się w takim stopniu i w takiej formie jak w Związku Radzieckim, tak szybko i z takim powodzeniem. Reportażyści opowiadają wielomilionowym czytelnikom o wszystkim, co tworzy energia ludu na całej ogromnej przestrzeni Związku Radzieckiego". Przykłady płomiennej, bojowej publicystyki w poezji i w artykułach pozostawił Majakowski. W okresie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej niezwykłą popularność uzyskała publicystyka Erenburga. Publicystykę uprawiali także A. Tołstoj, M. Szołochow, M. Tichonow, B. Gorbatow...

Obecnie przed puolicystyką rysują się niemniejsze zadania. Publicystyka pozwala „na gorąco" opowiedzieć czytelnikowi, co się dzieje na wielkich budowlach komunizmu, pokazać w artystycznej formie heroiczne czyny radzieckich budowniczych komunizmu. Mimo niewątpliwych osiągnięć, literatura nie dała jeszcze dzieł godnych obecnej wielkiej epoki. „Poranek wielkiej budowy" (Gałaktionowa i Agranowskiego) oraz „Ludzie współcześni" (Polewoja) są nadal najwybitniejszymi osiągnięciami i czekają na inne, równie wartościowe pozycje.

Wśród pisarzy spotykamy niekiedy objawy niedoceniania wartości publicystyki. Kiedy redakcja „Ogonioka" poprosiła H. Nikołajewą o napisanie reportażu, autorka „Zniw" odpowiedziała: Dziękuję wam, ale ja teraz — chwała Bogu — mogę publicystyki nie uprawiać. Wręcz diametralny przykład dał N. Szołochow. Znakomity pisarz lukę milczenia między „Cichym Donem" a drugą zapowiedzianą częścią „Zoranego ugoru" wypełnił właśnie publicystyką, wydał bowiem zbiór artykułów pt. „Ojczyste słowo".

„Litieraturnaja Gazieta" uwydatnia niedomagania w pracy Sekcji Reportażu i Publicystyki Związku Pisarzy Radzieckich. Sekcja za mało uwagi udziela teraz temu doniosłemu rodzajowi literatury, nie kieruje należycie produkcją twórczą, nie omawia jej dostatecznie głęboko, nie przyciąga do dyskusji wybitnych krytyków.

Wystąpienia „Litieraturnoj Gaziety" świadczą o bolszewickiej szczerości i odwadze w stawianiu zagadnień. Osiągnięcia publicystyki radzieckiej są powszechnie znane całemu światu (Erenburg, Zasławski), ale sukcesy nie powinny przysłaniać braków i hamować potrzeb. XIX Zjazd wytyczył literaturze radzieckiej nowe drogi i postawił nowe zadania, godne budowniczych komunistycznej epoki. Obecna dyskusja nad stanem publicystyki stanowi konsekwentne przepracowanie uchwał Zjazdu m. in. na terenie literatury.

„Litieraturnaja Gazieta" informuje o zainteresowaniach, jakie w dalszym ciągu budzi dobra publicystyka. Czytelnicy czekają, poszukują dobrej książki i reagują na nią entuzjastycznie. Ostatnio o wsi kołchoźniczej pisali m. in. W. Owieczkin, W. Fomienko i E. Dorosz. W. Owieczkin napisał szereg reportaży: „Codzienne dni rejonu", „W jednym kołchozie" i inne; poruszył w nich drażliwe, dojrzałe do rozwiązania sprawy. I tu stała się rzecz ciekawa. Do Związku Pisarzy Radzieckich napłynęły listy z wielu kołchozów. Każdy z nich stosował do własnej sytuacji reportaż Owieczkina i prosił o przyjazd pisarza. Niech przyjedzie, niech nam pomoże w naszych trudnościach, brakach, skoro je tak dobrze dostrzega. Wokół reportaży Owieczkina rozgorzała dyskusja. Czym wytłumaczyć sukces tych reportaży? Po prostu wykryły one zjawiska typowe. Ten przykład świadczy o doniosłym zadaniu publicystyki: pomóc narodowi, pomóc partii w dostrzeganiu w życiu obok cech nowych, pozytywnych, także objawów ujemnych, istniejących jeszcze braków — po to, aby je wspólnymi siłami usunąć.

Bojowa publicystyka — stwierdza „Gazieta" — to przodująca siła literatury radzieckiej. Obowiązek naszych najwiekszych pisarzy nakazuje im stanąć w szeregach agitatorów. „Zagadnienie polityki, moralności radzieckiego społeczeństwa, problemy ekonomii i nauki, walka o pokój na całym świecie, demaskowanie podżegaczy wojennych, nakaz czujności — oto ogromny wachlarz tematów publicystyki, oto najbliższe zadania stojące przed pisarzami".

WŚRÓD NOWOŚCI KSIĘGARSKICH

SERGIUSZ ANTONOW wydał zbiór opowiadań pt. „PIERWSZA POSADA". Ukazały się także: jednotomowy wybór utworów WSIEWOŁODA IWANOWA (powieści, opowiadania, wspomnienia), powieść ANDRZEJA PRISZWINA „SŁONECZNA ZIMA", publicystyka A. SOFRONOWA pt. „ZAGRANICZNE SPOTKANIA" i reportaże C. KOŚCIŃSKIEGO pt. „PRAWO DO TWÓRCZOŚCI".

Z literatury zagranicznej przetłumaczono na nowo nowele PRUSA I ORZESZKOWEJ, wydano przekład sztuki HIKMETA pt. „OPOWIADANIA O TURCJI", z literatury współczesnej polskiej— „ZIEMIĘ WYZWOLONĄ" WŁ. RYMKIEWICZA.

Wiele pozycji książkowych dotyczy rosyjskiej literatury postępowej. Ukazał się I (700-stronicowy) tom wydawnictwa pt. „WYBRANE UTWORY ROSYJSKICH MYŚLICIELI DRUGIEJ POŁOWY XVIII WIEKU", zbiór artykułów znakomitego malarza ILII REPINA, wypowiedzi Sałtykowa-Szczedrina o literaturze, praca I. USPIENSKIEGO pt. „ROSYJSCY PISARZE O AMERYCE", rozprawa W. PUTINCEWA pt. „HERCEN JAKO PISARZ" (wśród wydawnictw Akademii Nauk ZSRR). Pod kierunkiem wybitnych uczonych-historyków, Akademia Nauk ZSRR przygotowuje sześciotomowe wydawnictwo pt. „HISTORIA MOSKWY". Ukazał się właśnie pierwszy tom.

17 stycznia minęło 90 lat od dnia urodzin Stanisławskiego. W związku z tym wydawnictwo „Sztuka" zapowiada jednotomowe wydanie prac krytycznych, przemówień i listów znakomitego reżysera i aktora, wielkiego człowieka teatru. Na warsztacie autorskim znajduje się pełne ośmiotomowe wydanie wszystkich dzieł Stanisławskiego, które przyniesie m. in. nieznany rozdział „Moje życia w sztuce", nieznane uzupełnienia do „Pracy aktora nad sobą" i blisko 800 (przeważnie nieznanych) listów.

Grzegorz Timofiejew

HORACY SAFRIN

Wiersz o dyrektorze POM-u który nie chciał być biurokratą

Na fotelu swym rozparty
siedział do godziny czwartej.
Oczy spod gładkiego czoła
siały radość dookoła.

Każde zdanie cedził słodko,
sekretarce mówił „złotko",
majstrom — „drogi" i „kochany",
słowem: przyłóż go do rany!

Zawsze pełen dobrych chęci
ufał tylko swej pamięci,
zapisanych zaś arkuszy
nienawidził z głębi duszy.

W kółko więc powtarzał słowa:
„To robota papierkowa!
Cóż mi cyfry, świstki, akta?
Co ma plan dać, to i tak da!

Biurokratyzm — kiepski narów!
Orka?... Ileż to hektarów?...
Drobiazg... Wszystko w ciągu zimy
przygotować potrafimy!"

I dodawał głosem żwawym:
„Gdy się wokół wspólnej sprawy
zakrzątniemy, wiem na pewno,
że wygramy akcję siewną!"

Nienawidził zebrań, narad...
„U nas sprawny jest aparat!" —
takie miewał powiedzonko
i uśmiechał się jak słonko.

Słysząc dzwonek telefonu
wnet głos zniżał o pół tonu
i, nie tknąwszy żadnej z teczek,
stwierdzał: „U nas porządeczek!"

Gdy księgowy (ot mądrala!)
doniósł mu, że plan nawala,
rzekł pogodnie, jeszcze słodziej
niż zazwyczaj: „Nic nie szkodzi.

Choć sumienność pańską cenię,
starczy w cyfrach... przeoczenie,
no... pamięci drobny zanik...
i podciągnąć można planik!"

✻

Zwierzył mi się dzisiaj rano,
że z posady go wylano.
„A wylano — westchnął — za to,
że nie byłem biurokratą!"

Rys. S. Gierowski

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Opowiadanie schematyczne

DĄBKOWSKI z Podleszczyn, to nie jakiś zwykły, wahający się średniak, ale ambitny i uparty, nie cofający się szybko przed raz powziętym postanowieniem. Powiedział sobie — nie dam ani metra więcej, żeby tu pioruny biły i trwał w swym postanowieniu, pewny, że mu nikt nic nie zrobi. Zaręczył mu to bowiem gorąco i solennie niejaki Polip, o którym będzie mowa poniżej.

Gdy podczas rozmowy, połączonej z posiłkiem, Polip uśmiechnął się pod wąsem otwarcie i po chrześcijańsku, jak opisywał sam Dąbkowski, był już bliski sercu tego średniaka. Gdy następnie jedną ręką, uzbrojoną w widelec, wycelował w pokaźne dzwonko kiełbasy własnej roboty, a drugą objął smukłą szyjkę butelki mówiąc: — żeby ta kiełbasa nie pomyślała, he, he, że ją pies żre, to ją trzeba podlać — wydał się Dąbkowskiemu człowiekiem tak bliskim i swoim, że trudno mu się było w czymś sprzeciwić.

— Więc... mówię wam kochany Dąbkowski — tak będzie najlepiej. Nie macie młóconego, ja się postaram o tę pomoc dla was. Ja z Jagusiakiem, wiecie, to jak z bratem. Co mu powiem — załatwione.

Dąbkowski był już wprawdzie pełen wiary w słowa Polipa, ale chcąc się całkowicie upewnić, wtrącił nieśmiałe pytanie:

— A załatwi on to, panie Polip?

— A co, nie stać Jagusiaka? — odpowiedział Polip z wyrazem bezgranicznego zdziwienia na twarzy, że ktoś śmie powątpiewać we wszechmoc Jagusiaka. Dalsza rozmowa potoczyła się już dokładnie według poniższego, pozbawionego wszelkich komentarzy dialogu, z tym, że Dąbkowski wyraża w nim wątpliwości, a Polip je wyjaśnia.

— No tak gospodarz, bogacz, kiedyś pierwszy we wsi, ale teraz takich gniotą.

— Gniotą, to gniotą mój Dąbkowski, ale przysłowie się nie myli. — Nim gruby schudnie, to chudego diabli wezmą.

— Ale i on już stęka.

— Bo musi, dla pozoru.

— No tak, chyba że musi...

— A coście myśleli, że nie musi? O pieniądze się nie martwcie. Potrzebne wam zaraz, będziecie je mieli.

— Od gruntowego się nie uchylę, dwie raty na raz się zebrało. Edkowi też muszę coś posłać.

— Poślecie. Jak załatwimy tamto, to wam starczy na wszystko. I na ten święty kieliszeczek, he, he. Cyk pod tą kiełbasinę, żeby nie myślała...

— Mój plon, moja wola. Jam siał, jam kosił, co nie?

— Pewno. Co innego podatek, a z dostawą macie wytłumaczenie. Nie urodziło się, tak-owak, nie młóciłem... Nie ma, nie dam. Skąd wezmę?... Jesteście tego... ŚREDNIAK, cackają się z wami, co zrobią? Wasze prawo — wahać się. Do spółdzielni was siłą nie zagonią.

— Nie zagonią.

— Nie. Pamiętajcie, Jagusiak nikomu pomocy nie odmówi w potrzebie. A do GOM-u nie chodźcie za nic na świecie.

Skoro Dąbkowskiemu objawiły się przez usta Polipa tak sakramentalne prawdy, mógł sobie pozwolić na obojętne przyjęcie wiadomości o zebraniu gromadzkiego Frontu Narodowego. Informował go o zebraniu zetempowiec Kurzydlak, niebawem po wyjściu Polipa, odprowadzanego zajadłym szczekaniem psa. Dąbkowski w odpowiedzi Kurzydlakowi dał wyraz swego dobrego humoru, mówiąc:

— Co za Front? Przecież u nas w Podleszczynach ludzie spokojne, nikt nie chce wojować.

Nie należy się dziwić, że na zebraniu, Dąbkowski w godnej kompanii kilku jemu podobnych opieszalców z gromady, znalazł się pod obstrzałem głosów opinii gromadzkiej. Zdenerwował się i wyszedł ze świetlicy, rozżalony, że porządnemu człowiekowi żyć we wsi nie dają.

Widzimy tutaj z precyzyjną dokładnością, w jaki to sposób średniak Dąbkowski z Podleszczyn raz wstąpiwszy na drogę obywatelskiej nieprawości, staczał się po niej coraz niżej. Odwiedziny trójki społecznej zbiegły się u niego akurat z audycją lokalną, jaką nadawał radiowęzeł w Łaskowie.

...„Nie wszyscy chłopi w Podleszczynach zrozumieli konieczność i znaczenie terminowych dostaw... Oto sześciohektarowy chłop, Kazimierz Dąbkowski... zarywa planowy skup"...

Tak szatańskich wymysłów Dąbkowski jak żyje pięćdziesiąt dwa i pół roku, nie spotykał. Fakt podania przez głośnik nazwiska, wstrząsnął nim do tego stopnia, że gdy Kurzydlak wycedził: — Ładnie wam teraz? — Dąbkowski nie zawahał się przed wypowiedzeniem owych pamiętnych słów, przytoczonych już na wstępie.

— Nie dam ani metra więcej, żeby tu pioruny biły! I uzupełnił to zdanie dokładnie powtórzonymi słowami, które padły z ust Polipa podczas cytowanej przez nas rozmowy.

— Nie mam, nie dam. Co mi zrobicie? Nie widzicie, że się waham?

W poczuciu zwycięsko stoczonej walki we własnej obronie, podążał nazajutrz Dąbkowski w stronę z daleka widocznych, okazałych zabudowań Jagusiaka.

Zastał go akurat w momencie, gdy ten ubrany w wytłuszczony fartuch, zajęty był przygotowywaniem koryta dla swojej trzody. Dąbkowski otworzył usta, aby się pochwalić swoim sukcesem w walce o nieodstawianie zboża, a zarazem prosić o przyrzeczoną przez Polipa w imieniu Jagusiaka młockarnię...

Ów zaś wyjmował z głębokiego, wiklinowego półkoszka okrągłe bochenki chleba, kroił je w grube kromy i wrzucał do podstawionego szaflika, wypełnionego ciepłą „chlapaczką". Chleb najwidoczniej był zmagazynowany od dawna, czerstwy, gdyż Jagusiak zanurzając w nim szeroki, masarski nóż, nadymał się mocno z wysiłku.

— Co to chleb krajecie dla świń? Dąbkowski w jednej chwili zapomniał o tym, co miał powiedzieć Jagusiakowi. Nic nie widział, tylko ten chleb tkwił mu przed oczami.

— A co to świnia gorsza od człowieka?

Zdarza się w powieściach, że bohater, skazany zdawałoby się nieuchronnie na zagładę, dzięki nagłemu olśnieniu, w jednej chwili staje się na powrót panem swojego losu. Podobnie było i z Dąbkowskim, gdy usłyszał ową szyderczą odpowiedź Jagusiaka.

— Może są takie ludzie, od których świnia nie jest gorsza...

Chciał jeszcze dopowiedzieć — nie przymierzając jak wy Jagusiak — ale uprzytomnił sobie nagle własną pozycję, niewiele ostatnio różną od Jagusiaka.

Od tej chwili wypadki potoczyły się wartko zmierzając wprost do ostatecznego rozwiązania. Po skończonej młocce przy pomocy wypożyczonej z GOM-u maszyny, Dąbkowski, załadował zboże na wóz i pojechał w nie dla wszystkich wiadomym kierunku. Pod jego nieobecność zjawił się zaniepokojony Polip, aby z ust ob. Dąbkowskiej usłyszeć krótką, lecz jakże treściwą odpowiedź:

— Mąż pojechał ze zbożem na skup.

— Co, z moim zbożem na skup? Pyta Polip, a widać, że mu dech zapiera.

— Nie z waszym, tylko z naszym. Masz pan tu swoje pieniądze. Obejdziemy się bez dobrodziejstwa.

Oczywiście nie ma tu potrzeby malować uczuć, jakie w tej chwili owładnęły handlarzem, tym bardziej, że wkrótce spadła nań jeszcze bardziej przykra niespodzianka. Doniósł o niej jeden z najbliższych numerów „Gazety Robotniczej", w następującej notatce:

„Kułak Jagusiak z Podleszczyn, do spółki z niejakim Polipem, byłym sklepikarzem, ścigany za nadużycia podatkowe, bił nielegalnie tuczniki i cielęta, a mięso w brudnych workach wywoził do Zgierza, gdzie sprzedawał po paskarskiej cenie. Zalegając z oddawą zboża, Jagusiak skupywał je równocześnie przy pomocy Polipa od biedniejszych chłopów. Mełł i sprzedawał mąkę, a w mieście kupował chleb, którym następnie tuczył świnie".

Działo się to przed wielką uchwałą rządu w sprawie regulacji cen i sprzedaży nadwyżek produktów rolniczych. Na tym należałoby właściwie opowiadanie zakończyć. Jednakże w ostatnich tygodniach zaszło w Podleszczynach coś, co się domaga uzupełnienia całej historii.

A więc w tej samej gazecie, która kiedyś napiętnowała Jagusiaka, niedawno znalazła się wzmianka o tym, że w Podleszczynach powstał komitet założycielski spółdzielni produkcyjnej. Korespondent z terenu pisze, że tamtejsi chłopi średniorolni, po przełamaniu wpływów kułackich i zdemaskowaniu szkodników, zmierzają do przejścia na zespołową gospodarkę. Jednym z aktywniejszych członków komitetu jest sześciohektarowiec Kazimierz Dąbkowski.

Bronisław Chęciński

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel 7-52-50 Adres redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza nr 7.
Tel.: Red. Nacz. 727-86. Tel.: Redakcji 751-80 dod wewnętrzny 91, 83.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie —.27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA" Warszawa, Marszałkowska 3/5 4-B-10352

CZESŁAW MICHNIAK

Zięba i świetlica

Na drzwiach sklepu w Mierzawie wisi afisz: „W dniu 24 stycznia odbędzie się w świetlicy spółdzielni produkcyjnej w Przyłęczku wielka zabawa taneczna". Dziś mamy 3 lutego. A więc jest już po wszystkim. Dlatego może odstającym od drzewa papierem igra lekki wiaterek.

— Udała się zabawa? — pytam kobiety, która czeka na autobus.

— Ano, było ze sto młodzieży. Orkiestra, że ha! Bas, skrzypce, harmonia — śmieje się przytupując z zimna. Dokoła pola połyskują szkliwem lodu — jeszcze przed dwoma dniami stały pod wodą.

✻

— Szkoda gadać!

— ?

— Szkoda gadać!

— Trudno u nas prowadzić robotę w świetlicy — mówi Jan Zięba, przewodniczący spółdzielni produkcyjnej w Przyłęczku. Jest nim od niedawna. Przedtem był przewodniczącym Prezydium GRN w Wodzisławiu, jednej z największych gmin w powiecie jędrzejowskim. Z pochodzenia fornal z majątku Kowerskiego, po wyzwoleniu nadziałowiec.

— Nie ma młodzieży — rozkłada ręce — starsi chłopcy poszli do wojska, młodsi uczą się, dziewczęta też w szkołach... Kolega Wosiński nasz księgowy i magazynier w jednej osobie oraz dwie nauczycielki to chyba cała młodzież.

Przy stole siedzi młodzieniec w czapce naciśniętej na uszy, podnosi głowę znad cyfr i uśmiecha się.

— Roboty huk — wskazuje na stos papierów. — Pracuje się po nocach i w niedzielę...

— Na brak młodzieży nie możecie chyba narzekać — powiadam — zabawa u was była...

— Bawili się, owszem, ale nie nasi. Z okolicznych wiosek: Przyłęka, Mierzawy, Kolonii Judasze.

—Skoro przyszli na tańce, to mogliby również chodzić na zajęcia świetlicowe...

— Mogliby — przyznaje Zięba.

Mogliby, gdyż radio (nawet dwa aparaty) — jest. Wosiński wstaje, kręci gałkę: Rozlega się hejnał z wieży Mariackiej w Krakowie. Dwunasta. Sprawdzam swój czas. Księgowy zamyka radio.

Książki w bibliotece — są (kto przeczyta więcej tomów od Sabiny Ziębowej, o której mąż mówi, że „nie uśnie bez książki"? Na razie nikt jej w Przyłęczku nie dorównał).

Lokal jest — „obok" — pokazuje palcem Wosiński. — Tylko tam zimno — wstrząsa się.

W Kolonii Judasze kilkoro wśród młodzieży myśli nie na żarty o założeniu sekcji dramatycznej — Klepka, Wasikówna, Duda!

— Gdzie Judasze? — pytam.

Zięba robi okrągły ruch ręką. Przybliżamy się do okna wychodzącego na ogród.

— Tam, za wzgórzem... Trzy kilometry, dwadzieścia minut drogi...

— No, więc dlaczego, szkoda gadać? Warunki są. W Przyłęczku powinna być wzorcowa świetlica.

✻

Znowu dlaczego?

Spółdzielnia produkcyjna w Przyłęczku liczy 35 członków (20 rodzin), gospodarujących na 218 hektarach dobrej ziemi (rędzina). Część spółdzielców to byli fornale (np. Zięba, Pasoń, Pietras, Kwiecień), reszta — małorolni i średniorolni chłopi, którzy wnieśli do spółdzielni mniejszy lub większy wkład ziemi.

Zaczęło się od tego, że Zarząd — sobie, a przewodniczący Roman Wójcik — sobie. Nie współpracował z zarządem, lenił się z wychodzeniem do pracy. Rozpoczęły się zgrzyty, tarcia. To była woda na młyn wrogów. Pleban z Piotrkowic, chodząc po kolędzie pytał Ziębę: „Coście tak schudli"? „A co to księdza obchodzi!" — odpowiedział mu Zięba. Niby co ma kolęda do zmarszczek na twarzy? Inna rzecz, że chłop gryzł się, kryzys przyszedł. Pleban badał sytuację. Ot co!

Któż więc miał przyciągać okoliczną młodzież do świetlicy, skoro ani organizacja partyjna, ani ZMP nie miały dość siły, aby opanować sytuację w spółdzielni. I Koło Gospodyń Wiejskich próżnowało, zamiast dwudziestu kilku przychodziło na zebranie tylko pięć do sześciu kobiet.

Pewnego dnia ktoś powybijał szyby w świetlicy, powynosił krzesła. Okna zabito deskami. Ściany poobtłukiwano z tynku. Na podłodze do dziś dnia tańcują myszy w takt uderzeń naderwanej blachy zwisającej z dachu.

Świetlica istnieje tylko na papierze w Zarządzie Wojewódzkim w ZSCh w Kielcach.

✻

Wosiński na skrawku papieru stawia dziesiątą kreskę. Rachwał bierze na plecy jedenasty worek z owsem. Wchodzi ostrożnie po drabinie na stryszek do magazynu. Przed stodołą gra motor młocarni. POM-owski mechanik Stanisław Niestój zaciera ręce.

— Wymłócimy dziś więcej niż zaplanowaliśmy — mówi.

Traktorzysta Edward Skrzypiec woła z drugiego końca pola:

— Chodź do Ziębiny, kluski gorące!

Idą szerokim, rozkołysanym krokiem, mrużąc oczy. Blask bije od śniegu. Pasońka (żona Pasonia — „należałby się jej order za pracę" — mówi Zięba), pilnuje młocarni, obok niej stoi Gawron. Podnosi z ziemi kilka ziarenek owsa wrzucając je uroczyście do worka. — Szkoda — mruczy.

Z powagą brzmią słowa Zięby:

— Trzeba się wziąć za remont świetlicy, a najbliższe zebranie spółdzielcze poświęcić kulturze. Bo kultura to też chleb.

Czesław Michniak

Gazetka gminna

Mistrz Twardowski z Sokółki

Chcielibyśmy jak najdokładniej opowiedzieć Wam, jak to się stało, że tarapaty, w które popadła Marcjanna Borowa, ocaliły honor gromady Sokółka, gm. Sadowne, pow. Węgrów.

Będzie już chyba z miesiąc, kiedy po gminie rozeszły się słuchy, że sokołowianie cofnęli się o całe wieki wstecz i napowrót wierzą w duchy. Tak też niestety było. I jakże mogło być inaczej skoro duchy zapisały się na przydział węgla i co dziwniejsze — węgiel pobrały. Nie wierzycie? — przeczytajcie sobie tylko listę, ułożoną przez nie byle kogo, bo samego sołtysa Bronisława Tracza. Figuruje tam wyraźnie — zmarła przed laty Wacława Wieliczko. Figurują i tacy, których w ogóle nie ma, jak np. Anna Wałbrzych i Feliksa Kozik. A węgiel pobrali napewno — zapytajcie tylko żywych, dla których nie starczyło.

Sytuacja Sokółki w opinii gminy,ba — nawet już i powiatu, pogorszyła się znacznie, gdyż zaczęli tu ludziska rozpowiadać, że pan sołtys, niczym mistrz Twardowski, cuda rozmaite czyni. Ot na przykład — każdy we wsi widział że małżeństwo Janowscy gotują na jednej kuchni i w jednym piecu palą, podobnie jak i Kaczmarczykowie. A tu Tracz - czarodziej tak się sprawnie przez noc uwinął, że rano masz w wykazie u małżeństw osobne piece dla męża, osobne dla żony.

Diabelskiego zaiste figla spłatał Julianowi Dąbrowskiemu, który na składnicy przekonał się, że jego węgiel znikł w stodole Piotra Kukiełki z sąsiedniej wsi Kołodziądz.

Ludzie potracili głowy i zapewne po wszystkie czasy miałaby Sokółka opinię gromady zacofanych zabobonników, gdyby nie cielę Marcjanny Borowej. Otóż to cielę po prostu zachorowało. Poszła tedy strapiona Marcjanna do sołtysa, żeby taki cud uczynił, jak z węglem. Tymczasem Tracz zachował się zgoła nie po czarnoksięsku. Niczym zwykły sołtys, jeden z tysięcy, wydał jej zaświadczenie dla władz o chorobie cielęcia. Chłopi spodziewali się cudu i najwyraźniej rozczarowani poczęli wątpić, czy Tracz to rzeczywiście nowy mistrz Twardowski. A zwątpili do reszty, kiedy zapłakana Marcjanna, prowadząc chore cielę, rozpaczała, że nie ma siły pójść do Tracza na odrobek za to zaświadczenie, gdyż inaczej biedne zwierzę padnie.

Nie padło, węgiel się znalazł, padł natomiast sołtys w opinii gromady, ta zaś podniosła się napowrót w oczach gminy i powiatu, o czym donosi wasz korespondent.

WOJCIECH CIELOCH

Wykaz błędów

w naszym poprzednim (6) numerze

— w interpunkcji (kropki i przecinki)	19
— powtórzenie lub opuszczenie wyrazów	2
— zmiana słów (inna treść)	7
— błędy literowe	10
Razem	38

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca stycznia br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmują wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 15-go każdego miesiąca, na miesiąc następny i okresy dalsze.

Dwie teorie

W gromadzie Młyny, pow. Busko-Zdrój wydarzyła się przykra sprawa. Małorolni i średniacy nie wykonują należycie obowiązków wobec państwa. Skup zboża kuleje, z żywcem także nienajlepiej.

Dlaczego? Istnieją dwie teorie wyjaśniające ten stan rzeczy, a że tylko jedna z nich jest prawdziwa, bądźcie sami mądrzy i odgadnijcie która. Co do GRN w Szańcu, to skłania się ona wyraźnie na stronę teorii lansowanej przez sołtysa Młynów — Jana Klementowskiego. Być może i dlatego, że krótka to teoria, jak rozum delegata CUSiKu, jasna akurat tak samo jak przemówienia przewodniczącego GRN Jana Juncze. Kłopotów z jej rozumieniem nie ma nawet najbardziej tępy urzędas gminy, a jest ich przecież nie mało. Otóż Klementowski obwieścił po prostu — ciemna masa te małorolniaki i średniaki, na spójni się nie wyznają, wstyd nam robią przed kułakami, bo ci co potrza oddają. Na nic moja harówka, tu i sto kagańców oświaty nie pomoże.

Podaliśmy tą teorię objektywnie, niczego nie sugerując, z czystym więc sumieniem przystępujemy do omówienia drugiej, skrajnie przeciwnej. Jej twórca to Jan Domagała wespół z małorolnymi, korespondent „Gromady".

Rzeczony Domagała utrzymuje, że małorolni dlatego nie mogą wykonać norm, że w gminie działają dwie zakonspirowane szajki. Jedną z nich dowodzi sołtys Klementowski wraz z rozległą familią, drugą sam przewodniczący GRN wraz z kumotrami. Pierwsza szajka dokonała fikcyjnego podziału gospodarstw. Np. Sołtys rozpisał swoje hektary na siebie, córkę, szwagierkę, jej dwoje dzieci i kto by ich tam zliczył. Wyszli na papierze tacy nędzarze z tego podziału, że aż dziw bierze, że dotąd jeszcze wcale dobrze żyją. Podobnie Gręda syn Augusta, Klementowski, ten od Teofila, Buław, Struzik, Wach, Kozolski, Maria Domagała i jeszcze coś.

Szajka pana przewodniczącego urządziła się inaczej. Są to dobroczyńcy, którzy nie pozwolili, by leżała odłogiem ziemia po tych, co wywędrowali na Ziemie Odzyskane. Dobroczyńcy przez skromność nie zalegalizowali tej wielkodusznej opieki. Ot i wszytko. Pan Juncze ma dwie gospodarki, podobnie Mizdra, Kocian, Hotrawiec, Sokołowski, Janik i Chobot. Krzyszka jest największym dobrodziejem, gdyż zaopiekował się aż trzema gospodarstwami. Jak na niewielką gminę wcale liczne te szajki, wystarczą w każdym razie, by przerzucić na mało i średniorolnych takie ciężary, że rzeczywiście udźwignąć ich nie mogli.

No i co — która teoria prawdziwa? Jak sądzicie? Nam się coś w dowodzeniu sołtysa nie podoba. Ciemna masa małorolna?Nie taka znowu ciemna skoro wyjaśniła sytuację, dostarczyła korespondentowi faktów z życia na poparcie teorii. Stawiamy zatem na Domagałę i mamy nadzieję, że PRN w Busku-Zdroju nie inaczej.

PIOTR PIGWA

Rozmowa dwóch listów

Pewnego dnia na biurku redaktora znalazły się dwa listy. Jeden nosił stempel Urzędu Pocztowego w Kamiennej Górze (woj. poznańskie), na odwrocie drugiego adres nadawcy brzmiał: Krasnystaw (woj. lubelskie). Zanim redaktor zdołał je rozpieczętować listy porozumiały się. Jeden tak mówił do drugiego:

— Wy kolego tu w jakiej sprawie?

— Ach — westchnął list z Krasnegostawu — muszę się poskarżyć na listonoszy.

— Cóż, przetrzymują was i nie oddają do rąk adresatom? — spytał pełen zaciekawienia list z Kamiennej Góry.

— Tak. Zostawiają go albo w spółdzielni, albo po prostu wręczają dzieciom, by podrzuciły go sąsiadom. U nas we wsi prenumerują ludzie gazety. Ale nie dochodzą one w oznaczonym terminie. Dobrze, jak po paru dniach „Gromada" znajdzie się w ręku prenumeratora. Powiedz mi, kolego, co zrobić?

List z Kamiennej Góry zaśmiał się, o ile oczywiście listy potrafią się śmiać. Rzecz jasna, że to nie tyle listy gorzko się śmiały, ile ich autorzy. Oto co powiedział, a raczej wyznał ze wstydem list z Kamiennej Góry listowi z Krasnegostawu:

— Mój drogi, u was nie jest jeszcze tak źle! Choć jest nie tak, jak być powinno. Bo oto u nas listonosz agencji Błażkowa ob. Snieżek Miśko nosi sobie listy w kieszeni, aż niektóre z nich wycierają się tak, że adresat odczytać ich nie może. Gazet nie oddaje, a listy polecone ów „ciekawy" listonosz — kontroluje. Pytasz się, co to znaczy? Otwiera je po prostu, gdy są grube. Poradź mi jak na to zaradzić?

Tu listy niespodziewanie umilkły, bo nadszedł redaktor i zabrał się do ich odczytywania. Westchnąwszy począł pisać list do Ministerstwa w tej sprawie, ale się rozmyślił. Napisał w końcu tę notatkę, zastanawiając się, czy ona pomoże. Ale co do tego wątpliwości nie miał.

WŁADYSŁAW STĘPIEN

Przypowiastka optymistyczna

Było sobie pewnego razu duże gospodarstwo rolne. Władał nim człowiek chciwy i zły — nazwiskiem Zieciak. Każdego lata donajmował on około 60 ludzi, gdyż 25-ciu jego stałych robotników nie wystarczało. Po jesiennych orkach, kiedy przychodziły zimne deszcze i chwytały pierwsze mrozy — wyrzucał pracowników najętych latem, nie pytając bynajmniej jak sobie będą radzić dalej.

Do pracy zwoływał ludzi folwarcznym dzwonkiem. I wystarczyło, doprawdy, kilkunastominutowe spóźnienie, aby okrutny Zieciak pozbawił nieszczęsnego pracy i dachu nad głową. Przytrafił się ostatnio taki smutny los Mieczysławowi Pierzchale.

Chciwy Zieciak miał swoje sympatie i antypatie. Oto nie znosił np. kucharki Stanisławy Kobus, którą też zastąpił swoją córką licząc, że zagarnie przynajmniej część zarobku. O wyrzuconej zapomniał zaraz na drugi dzień. Nie znosił także urodziwego i dzielnego Klinoty Józefa, nazywanego — klejnotem, za to tylko, że potrafił jedną ręką zmusić do posłuchu kilkadziesiąt koni mechanicznych zakiętych w machiny, nazywane traktorami. Ubóstwiał natomiast swego leniwego syna, sypał na jego rozrzutne ręce tym więcej złota, im mniej go otrzymywali zwykli, prości ludzie, pracujący na gospodarstwie.

Ale Zieciak nie był dobrym gospodarzem, podobnie jak wielu panów. Owce, a miał ich coś 500 sztuk, pozbawione futoru, tygodniami nie pojone, padały jak muchy. Cielęta ryczały żałośnie tonąc w oborze w błocie, ginęły nie rzadziej niż owce. Całymi godzinami wysiadywał ów okrutny Zieciak w oberży, spijał olbrzymie ilości alkoholu, swawoląc z podobnymi sobie mospanami. Kwitł mu brzuch, rozrastał się nos jak Zagłobie.

Opowieść z dawnych feudalnych lat? Gdybyż tak było! Niestety gospodarstwo takie istnieje współcześnie. Jest to PGR Kikor w powiecie Nowogard. Pan Zieciak także nie fikcyjna postać, lecz dotychczasowy pan kierownik na Kikorze. I zdarzenia niestety prawdziwe.

W jakimże celu więc opowiadamy tę powiastkę? Czy po to, by się pan Zieciak poprawił? Skądże z nowu! A odkąd to się tacy poprawiają?

Nasza przypowieść ma w gruncie rzeczy optymistyczny charakter. Świadczy bowiem o tym, że działalność Zieciaków dobrze obserwujemy i nie zamierzamy w żadnym z PGR-ów utrzymywać rezerwatów dla ostatnich Siekierzyńskich.

JAN WICHURA

Drobiazgi

Od tego my jesteśmy...

Chyba żadne gromadzkie koło Zw. Samopomocy Chłopskiej nie ma tak zaradnego, tak przedsiębiorczego zarządu, jak we wsi Nienadówka, gm. Sokołów Małopolski, pow. Kolbuszowa.

Miejscowość ta dotkliwie ucierpiała wskutek posuchy, totez chłopi zwrócili się do zarządu swego koła, aby pomógł im w ciężkiej sytuacji przez sprowadzenie paszy dla bydła z Sokołowa lub innych okolic, w których posucha nie dała się tak bardzo we znaki.

Zarząd uważnie wysłuchał delegacji, po czym jeden z zasiadających w zacnym gronie obywateli podniósł się z miejsca i wygłosiwszy dłuższą tyradę o konieczności wspomagania bliźnich w potrzebie, zakończył ją tymi słowy:

— Już wy się, ludzie, nie bójta, żeby wam się jaka krzywda stała. Od tego my tu jesteśmy, żeby was wspomoc w biedzie. Możecie spać spokojnie, my się tak postaramy, że wasze bydlątka nie będą chodzić głodne!

Słowo się rzekło, kobyłka u płota. Jakoż wszystkie nienadowskie kobyłki, tudzież koniki, kózki i krowy podjadają sobie do syta, bo paszy we wsi jest pod dostatkiem. Wprawdzie nie sprowadzono jej ani z Sokołowa, ani z innych okolic, ale chłopi mogą ją nabywać w dowolnych ilościach u miejscowych kułaków, jak Marcin Ożóg, Piotr Kołodziej, Franciszek Wójcik i u innych, płacąc za metr siana i słomy do 150 złotych.

Wszystko dzięki zaradnemu zarządowi swego gromadzkiego koła. W dodatku przedsiębiorczy zarząd za jednym zamachem rozwiązał również sprawę tzw. pomocy sąsiedzkiej. Bo nie dość, że kułacy każą sobie drogo płacić za paszę, ale jeszcze sprzedają ją chłopom pod warunkiem ,że ci przyjdą do nich na odrobek, za który nie otrzymują ani grosza.

A przecież kułacy — chociaż źli i niepotrzebni — to jak by nie było — zawsze sąsiedzi...

Co niniejszym prostujemy...

Ludzie zbyt pochopnie rzucają nieraz oskarżenia pod adresem bliźnich, pomawiając ich nie wiadomo o co, gdy ci w gruncie rzeczy są niewinni, jak nowonarodzone dziecię.

Ot, chociażby taka skarga mieszkańców gromady Tarzymiechy, gm. Izbica, pow. Krasnystaw. Narzekają oni, że miejscowa sklepowa Teodora Mazurek dopuszcza się różnych szachrajstw wraz z niejakim Władysławem Jaworskim, że co lepsze towary sprzedają „na lewo" swym znajomym, pobierając dwa razy wyższe ceny za cukierki i proszek do prania od innych klientów, a poza tym Mazurek lekceważy sobie obowiązek i otwiera sklep, kiedy jej się podoba.

Nasz specjalny wysłannik ustalił na miejscu, co następuje:

Nieprawdą jest, że ob. Mazurek otwiera sklep kiedy jej się podoba, natomiast prawdą jest, że go zamyka kiedy jej się podoba.

Nieprawdą jest, że ob. Mazurek pobiera podwójne ceny za proszek do prania czy cukierki, natomiast prawdą jest, że ceny zgadzają się z obowiązującym cennikiem, tylko sklepowa wydaje klientom zamiast po kilogramie, po pół kilograma tych artykułów.

Nie można również się zgodzić z twierdzeniem, że „Teodora Mazurek dopuszcza się różnych szachrajstw z niejakim Władysławem Jaworskim", gdyż obywatel ten nie jest „nijakim Jaworskim", lecz kułakiem z kułaków i serdecznym kumotrem ob. sklepowej.

Bóg zapłać!

„Każdy orze, jak może" — głosi mądra maksyma, a ile w niej treści — niechaj świadczy przykład z gromady Strzygłód w powiecie sanockim, woj. rzeszowskiego.

W Strzygłodzie, jak w każdej innej wsi, są chłopi, którzy uprawiają swą ziemię, hodują zwierzęta, słowem zajmują się tym, co do nich należy. Jest tu również kościół z parafią, nad którą od roku pieczę ma ksiądz proboszcz Karol Zarzyczny.

Tylko, że ksiądz wcale nie robi tego, co do niego należy.

Potrafi on na przykład zmobilizować całą ludność wsi do pracy na swoich gruntach. Ludzie idą, choć niechętnie, bo obawiają się, żeby ksiądz ich „nie wywołał z ambony". Ksiądz proboszcz na widok pracujących dla niego chłopów pozdrawia ich serdecznie, odpowiadając na życzenia wszelkiej pomyślności (bo i takie się zdarzają) „Bóg zapłać". Odpowiada tak również, gdy chłopi zgłaszają się doń po zapłatę za przepracowany dla niego czas...

Ksiądz w ogóle lubi bardzo spacery, dlatego też często chodzi po kwieście, w wyniku której zebrał w zeszłym roku 11 tysiączków i za pieniądze te kupił sobie dwie krowy Poza tym z całym zapałem oddaje się sprawom duchowym, tak że nie ma nawet czasu zapłacić świadczeń na rzecz państwa. Ale wyręczają go w tym inni, płacąc oczywiście ze swojej kieszeni.

Brak czasu spowodował również, że ksiądz nie mógł sam zabiegać o rozłożenie podatku na raty, w czym wyręczył go serdecznie jego opiekun i przewodniczący gminnej komisji podatkowej w jednej osobie — Karol Mazurkiewicz.

Kwesta kwestą, podatki podatkami, ale przecież nie można też umartwiać ciała. Więc ksiądz proboszcz żąda od swych parafian, aby zaopatrywali go w żywność, a robi to z taką gorliwością, że często musi biedak jeździć do Sanoka i sprzedawać tam nadmiar ofiarności, bo ostatecznie człowiek ma tylko jeden żołądek.

Ale ostatnio parafianie w Strzygłodzie zbuntowali się: oświadczyli, że nie dadzą się więcej nabić w butelkę i napisali o tym wszystkim obszerny list. Zaś jeden ułożył nawet piosenkę na starą melodię, którą strzygłodzianie chętnie sobie podśpiewują:

Ksiądz mi nakazował,
Żebym nie żałował
Pieniędzy i chleba.
Dbać o jego tuszę,
Ale ja nie muszę
Więc nie dam, więc nie dam!

„Zbrodnia i kara"

...W czerwcu 1951 r. wybite zostały szyby u Władysława Miszty, a Misztę pokłuto nożem.

...W 1952 r. w czasie żniw Franciszka Dratwa została napadnięta przez uzbrojonego w kosę osobnika, który usiłował ją zarżnąć.

...Szwagrowi swemu, Janowi Błochowi, który posiada 12 ha. dał „lewe" zaświadczenie, że ten ma dwa cielęta w wieku po 2 lata, żeby go zwolnić z obowiązkowej dostawy mleka.

...Katarzyna Lassak zameldowała, że zażądano od niej drzewa za rozłączenie jej pola.

...Za niesznurowe świadectwa na zwierzęta pobierał do swej kieszeni po 3 zł.

Jacyż to ludzie dopuszczali się tych przestępstw i jaka spotkała ich za to kara?

To nie ludzie, ale jeden człowiek w osobie Piotra Łapaja, który popełnił te karygodne czyny na stanowisku sołtysa w gromadzie Dzibice, gm. Lelów, pow. Włoszczowa.

A kara? Na razie sołtys... został zdjęty ze swego stanowiska i cieszy się nadal wolnością, co mu pozwala nadal grasować po swojej wsi i urabiać chłopów, żeby wstawiali się za nim (on się oddzielnie wstawia w miejscowej knajpie), aby znowu został sołtysem.

Jak z tego wynika, Łapaj nie daje za wygraną. Oj, nie łapaj się na takie kruczki, bo ci się i tak nie uda!

SKORPION